

magazyn

997

kryminalny

NR 8 (1999) ● 16 IV 1995 R. ● CENA 1 zł 20 gr (12 000 zł)

Ładunki wybuchowe eksplodujące w centrum miast, napady na drogach, zabójstwa na tle rozliczeń finansowych, wymuszanie haraczy, rozboje i zgwałcenia, narkotyki sprzedawane w szkołach — jeszcze do niedawna wszystko to znaleźliśmy jedynie z sensacyjnych filmów. Dziś o przemoc ocieramy się co dnia.

*czytaj str. 4—5*







## ARCHIWA OTWARTE

W obecności członków Politycznego Komitetu Doradczego przy Ministrze Spraw Wewnętrznych, dziennikarzy oraz kierownictwa resortu 30 marca br. minister Andrzej Milczanowski podpisał decyzję w sprawie udostępnienia materiałów archiwalnych sprzed 1956 roku, należących do byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i w terenie UB oraz byłego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego przy Radzie Ministrów, przechowywanych w archiwach MSW i UOP. Udostępnione zostaną także materiały archiwalne wytworzone przed 1944 rokiem, przejęte przez MBP i KBP, a znajdujące się obecnie w archiwach resortu.

Była to niewątpliwie historyczna decyzja, która pozwoli prokuratorom, sądom, urzędom państwowym, np. ds. kombatantów, a także naukowcom oraz tym, którzy wykażą, że mają w tym interes prawny — na wgląd w akta operacyjne, śledcze, osobowe, w tym również materiały z postępowań dyscyplinarnych oraz inwentarze i kartoteki archiwalne. Inne zainteresowane osoby będą mogły również ubiegać się o dostęp do akt po uprzednim uzyska-

niu zgody. Udostępnieniem materiałów archiwalnych będą się zajmować: dyrektor Centralnego Archiwum MSW, dyrektor Biura Ewidencji i Archiwum UOP oraz szefowie delegatur UOP, w zależności od tego, gdzie są one przechowywane.

Materiałów archiwalnych nie będzie wolno wykorzystywać w sposób lub w celach naruszających prawo. Archiwa MSW i UOP nie potwierdzają też prawdziwości informacji zawartych w materiałach należących do MBP i KBP.

Minister Andrzej Milczanowski zobowiązał dyrektorów archiwów MSW i UOP do przygotowania w celu udostępnienia również dokumentów z lat 1956 — 1965, których ujawnienie nie narusza interesów państwa i obywateli. Minister nie wyklucza możliwości udostępnienia materiałów wytworzonych po 1965 roku, na podstawie indywidualnej decyzji, jeżeli będą one dotyczyły dokumentów ważnych dla badań nad współczesną historią Polski.

Tyle na temat decyzji. O zasobach archiwów MSW i UOP w następnym „MK 997”.

ECA  
zdj. K. MOK.

## Sprawa „Łomiarza

## WKRÓTCE ZAKOŃCZENIE PROCESU

W dziewiątym dniu procesu Henryka R., oskarżonego o 29 napadów rabunkowych na kobiety, na pytania sądu odpowiadał biegle psychiatry z Warszawy i Krakowa. Ta część rozprawy odbyła się przy drzwiach zamkniętych.

— Dzieje się tak w podobnych przypadkach z tego względu, że omawiane są bardzo intymne problemy nie tylko samego oskarżonego, ale i jego rodziny — wyjaśniał potem prokurator Zbigniew Goszczyński. — Mogę jednak powiedzieć, że obie grupy biegłych podtrzymały swoje poprzednie opinie, potwierdzając, iż Henryk R. nie jest chory psychicznie i posiada pełną zdolność do rozpoznania swoich czynów. Gdyby było inaczej, nie mógłby on odpowiadać za popełnienie przestępstw.

Następnego dnia rozprawa rozpoczęła się od zapoznania sądu z opinią biegłych Śl. AM z Katedry Medycyny Sądowej na temat ran odniesionych przez ofiary napadów. Stwierdzili oni, iż mają bardzo duże trudności z wydawaniem konkretnych orzeczeń, gdyż „poza wynikami sekcji zwłok, większość przypadków jest źle, a nawet mylnie dokumentowana”. Prof. Władysław Nasiłowski powiedział nawet „cały czas obracamy się w sferze prawdopodobieństw”, ale podsumował potem, iż rodzaje ran „wykazują duże podobieństwa, co wskazuje na możliwość działania jednego sprawcy”. Zapytany przez obrońcę, czy na podstawie obrażeń można jednocześnie stwierdzić, iż sprawcą 29 napadów

był jeden i ten sam człowiek, biegły przyznał jednak, iż absolutnie tego nie twierdził, a chodziło mu jedynie o „podobieństwa anatomiczne”.

Po biegłych przed sądem stanęła świadkowie. Jako pierwsza zeznawała Marianna P. (napadnięta 22 września 1992 r.), która — podobnie jak i inne ofiary „Łomiarza” — nie była w stanie rozpoznać ze stuprocentową pewnością oskarżonego, gdyż nie widziała twarzy napastnika. Po niej zeznanie złożyły jeszcze cztery osoby, m.in. matka konkubiny oskarżonego. Potwierdziła ona wersję córki, iż znaleziony w jej mieszkaniu kalkulator (identyczny z tym, który utraciła jedna z ofiar napadu) zakupiony został przez obie kobiety od nie znanego im sprzedawcy na targu w Konstancinie. Sąd przerwał jej i zarządził 10-minutową przerwę, jednak drzwi sali rozpraw otworzone ponownie dopiero po upływie czterdziestu minut. Przewodnicząca składu sędziowskiego nie żądała od Janiny S. dalszych zeznań, uprzedzając ją, iż będzie musiała jeszcze raz je złożyć 20 kwietnia.

Na ten dzień wyznaczona została następna rozprawa, kolejna zaś na 24 i 26 kwietnia. Wobec oddalenia przez sąd wniosków obrony i prokuratora o dodatkowe ekspertyzy i eksperymenty w miejscu jednego z napadów, zanosi się na zakończenie przewodu — jeśli tylko zjawią się przewidziani na wyznaczone terminy świadkowie. Możliwe, że 26 kwietnia swe mowy wygłoszą obrońcy i prokurator.

PRZEMYSŁAW KACAK

## WIZYTA DYREKTORA UNDCP

W naszym kraju gościł Gorgio Giacomelli, dyrektor wykonawczy Międzynarodowego Programu Narodów Zjednoczonych ds. Kontroli Środków Odurzających (UNDCP). Pierwszego dnia pobytu spotkał się z wicepremierem Aleksandrem Łuczakiem, drugiego zaś z członkami Międzyresortowego Zespołu ds. Koordynacji Kontroli Środków Odurzających i Psychotropowych. W obu przypadkach mówiono o potrzebie i możliwościach współpracy Polski z UNDCP. Gość przekazał przewodniczącemu Międzyresortowego Zespołu Jerzemu Jaskierni materiały na temat tzw. Master Planu, czyli, mających ramowy charakter zaleceń UNDCP dla wszystkich krajów borykających się z plagą narkotyków. Dyrektor Giacomelli powiedział, iż są one zgodne z dotychczasowymi konwencjami, tzn. mówią o zakazie dystrybucji i posiadania narkotyków, nie dzieląc ich na „miękkie” i „twarde”. Przyznał też jednak, iż zarówno sam Master Plan, jak i konwencje nie narzucają ratyfikującym je państwom dokładnie określonych metod zwalczania narkomanii.

PRZEK

## POLICYJNI AKADEMICY W KSP

**Nie jest to nasza pierwsza publikacja o Srodkowoeuropejskiej Akademii Policyjnej, w skład której wchodzi słuchacz z Austrii, Czech, Polski, RFN, Słowacji, Słowenii i Węgry. W końcu marca br. zajęcia na tej uczelni, która nie posiada własnych sal wykładowych, administracji, koszar itd. odbywały się w Warszawie. „Latająca” akademie gościła Komenda Stołeczna Policji. Jej słuchaczy powitał zastępca komendanta stołecznego podinsp. Michał Otrębski, nadzorujący pracę pionów operacyjnych KSP.**

Podinsp. Michał Otrębski podkreślił, że w stolicy, już od kilku lat, co roku jest popełnianych ponad 100 000 przestępstw, w tym np. w roku 1994 150 zabójstw, 3 tys. rozbojów, ok. 33 000 włamań oraz 13 000 kradzieży samochodów. Przestępczość w stolicy i województwie stołecznym nabiera form przestępczości zorganizowanej. Aby wzmocnić z nią walkę, powołany został oddzielny wydział.

Największym problemem w chwili obecnej stał się terrorizm z użyciem materiałów wybuchowych.

Najbardziej liczące się sukcesy uzyskiwane są przez stołecznych funkcjonariuszy Policji dzięki pracy operacyjnej. Zajmuje się nią w stolicy, z uwagi na wakaty, zaledwie 370 policjantów służby operacyjno-rozpoznawczej. Mnożąc przestępczych zdarzeń powoduje, że sprawa goni sprawę. W Warszawie zbiegają się interesy wielu grup przestępczych, w tym również międzynarodowych. Taką skalę miały niektóre, ujawnione przez stołecznych funkcjonariuszy, przestępstwa, jak np. produkcja amfetaminy i olbrzymi przemyt przez Warszawę fałszywych dolarów USA, a także narkotyków.

Wymiar międzynarodowy mają też niektóre przestępstwa ujawnione przez funkcjonariuszy z Wydziału ds. Przestępstw Gospodarczych KSP.

Dotyczą one głównie obrotu towarowego i papierami wartościowymi oraz wyłudzeń wielkich kwot z towarzystw asekuracyjnych.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy zlikwidowano wielką rozlewnię przemycanego spirytusu (120 tys. litrów), kilka drukarni, które produkowały fałszywe nalepki na butelki z alkoholem, fałszywe banderole akcyzowe, a także polsko-niemiecki gang fałszerzy weksli dolarowych. Członkowie tej grupy, Polacy i Niemcy, usiłowali wprowadzić do obrotu zagraniczne weksle o łącznej wartości 40 milionów dolarów.

Epilóg sądowny uzyskało już wiele spraw prowadzonych przez Wydział do Walki z Przestępczością Zorganizowaną KSP, wśród których znajdują się m.in. afery dotyczące produkcji fałszywych polskich, niemieckich, francuskich i szwajcarskich dowodów rejestracyjnych pojazdów mechanicznych, polis ubezpieczeniowych, zezwoleń na tranzyt towarów z Zachodu na Wschód, wymuszanie haraczy od agencji towarzyskich. Podczas realizacji tych spraw odzyskano ponad 100 pistoletów i rewolwerów.

Słuchacze Srodkowoeuropejskiej Akademii Policyjnej zwiedzili Wojewódzkie Stanowisko Kierowania oraz Wydział Informatyki KSP. Zapoznali się także z pracą Komend Rejonowych Policji w warszawskim Śródmieściu, na Mokotowie i Pradze-Północ.

Na co dzień, zajęcia ze słuchaczami ŚAP prowadzą wykładowcy z WSPOL. w Szczytnie oraz funkcjonariusze z KGP. Warunkiem ukończenia ŚAP jest napisanie pracy końcowej w języku niemieckim na temat wybranych zagadnień dotyczących przestępczości zorganizowanej oraz złożenie egzaminu przed siedmioosobową komisją, składającą się z przedstawicieli państw, które utworzyły ŚAP. Jej absolwenci będą traktowani w policjach własnych krajów jako specjaliści od zwalczania przestępczości zorganizowanej.

EDWARD NOWAK  
zdj. K. Potocki





# „KORUPCJA” BEZ KORUPCJI

Nie potwierdził się żaden zarzut o korupcji w tzw. sprawie o korupcję w poznańskiej Policji — taką informację przekazał dziennikarzom podczas konferencji prasowej szefostwa Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach. Roczna praca pięcioosobowego międzywojewódzkiego zespołu prokuratorskiego, wspierana przez 2 funkcjonariuszy katowickiej KWP, zakończyła się. Do Sądu wojewódzkiego w Poznaniu wpłynął akt oskarżenia, wymieniający z nazwiska biznesmenów oraz 3 policjantów.

Przedsiębiorców oskarża prokuratura o paserstwo dotyczące mienia znacznej wartości (art. 215 par. 2 k.k. w zw. z art. 225 par. 1 k.k.), działanie na szkodę konsumentów oraz przestępstwa przeciwko dokumentom (art. 265 par. 1 i 266 par. 1 k.k.). Obaj oskarżeni przebywają w areszcie.

Mieczysławowi G., byłemu naczelnikowi Wydziału do Walki z Aferywnymi Nadużyciami Gospodarczymi — K-17 — późniejszy wydział PG przedstawiono 4 zarzuty: kierowania procederem paserstwa (art. 16 k.k. w zw. z art. 215 par. 2 i 58 k.k.) dwukrotnie popełnienia (art. 252 k.k.) oraz przestępstwa urzędniczego (art. 246 par. 1 k.k.), polegającego na przekroczeniu uprawnień służbowych i podejmowaniu decyzji należących do wyłącznej kompetencji prokuratora. Mieczysław G. umożliwił ucieczkę poszukiwanemu listem gończym Romualdowi Sz. oraz nie wszczął, mimo posiadanych informacji operacyjnych, śledztwa przeciwko firmie „River”, produkującej podobioną whiskę.

Ponadto, podczas tajnej operacji „Camorra”, skierowanej przeciwko

nielegalnym producentom i dystrybutorem napojów alkoholowych, jego podwładni zakupili za pieniądze Romualda J. i Marka T. powiązanych z nim układami rodzinnymi i towarzyskimi, 27 500 butelek sfałszowanej wódki. Towar wartości 1 017 500 000 zł nie dotarł do policyjnych depozytów, lecz w pudłach po bananach został przekazany sprytnym biznesmenom, którzy oszukując klientów, odsprzedali go z zyskiem. Na ławie oskarżonych zasiadł również dwaj kierownicy sekcji PG: Bogdan N. (kierowanie paserstwem i popełnieniem) oraz Kazimierz R. (popełnieniem).

Akt oskarżenia nie obejmuje byłego komendanta wojewódzkiego Policji w Poznaniu, Kazimierza K., któremu choroba i pobyt w szpitalu, uniemożliwiły zaznajomienie się z aktami śledztwa. Kazimierz K. był i jest objęty postępowaniem przygotowawczym potwierdzili prokurator wojewódzki Piotr Gojny. — Został przesłuchany w charakterze podejrzanego (przestępstwo urzędnicze: art. 246 par. 1 k.k.), wykonano wszystkie czynności procesowe z jego udziałem. On sam wyraża „dużą wolę i chęć zapoznania się z materiałami”. Gdy dopełni tej formalności prokuratura skieruje przeciwko niemu odrębny akt oskarżenia.

Nie potwierdziły się natomiast zarzuty, formułowane głównie przez prasę, pod adresem byłego komendanta głównego Policji Zenona S. i jego zastępcy Zdzisława C.

— Akt oskarżenia dotyczy zasadniczego zrzębu sprawy, objętego tajemnicą państwową specjalnego znaczenia — mówił zastępca prokuratora wojewódzkiego Krzysztof Ko-

łaczek. Spośród 21 głównych wątków nadal wyjaśnianych jest 18, w tym kwestie niegospodarności w klubie sportowym „Olimpia”, nieprawidłowości z Fundacji „Asekuracja”, i niewłaściwego dysponowania funduszem „Zero”. Zaden z elementów podejrzeń wymienionych przez „Gazetę Wyborczą” lub zawartych w protokole Zespołu Inspekcji MSW, nie zostanie pominięty — zapewniał Krzysztof Kołaczek.

Prokurator stwierdził jednak, że hasło „korupcja” z uporem podtrzymywane przez media wytworzyło wiele złej krwi. O żadnej korupcji w policji poznańskiej nie może być bowiem mowy. Podejrzenia o przestępstwa dotyczą bardzo wąskiej grupy funkcjonariuszy. Działalność tych osób absolutnie nie powinna wpływać na ocenę pracy całego garnizonu.

Szefowie PW w Katowicach podkreślili znakomite współdziałanie policji i ministerstwa spraw wewnętrznych z zespołem śledczym. — Nie napotkaliśmy na żadną trudność w docieraniu do akt operacyjnych. Na każdy wniosek minister reagował pozytywnie. Dotykaliśmy struktur agentów i informatorów, co jest rzeczą wyjątkową w świetle dotychczasowej praktyki.

— Trudno sobie wyobrazić ogrom tej sprawy — mówi Piotr Gojny. — Fragment, który „idzie do sądu” zawiera się w 36 tomach akt liczących po około 200 kart. Przesłuchano kilkuset świadków. Wszystkie materiały zostały zebrane przez naszych prokuratorów „na obcym” terenie, w oderwaniu od bazy. Mimo to, jak w rzadko którym śledztwie, zagwarantowano płynność i rytmikę postępowania.

ADAM. K. PODGÓRSKI

# NOWE FAŁSZYWKI

21 marca br. policjanci z KRP Warszawa-Ochota zatrzymali u podejrzanego fałszywe 50-złotowe banknoty. Jest to pierwszy przypadek fałszowania nowych pieniędzy na tak dużą skalę. Dotąd trafiały się jedynie pojedyncze egzemplarze wykonane tak nieudolnie, że można było je odróżnić z daleka. Obecne fałszywki wykonane są dużo lepiej.

Aby je odróżnić, należy przede wszystkim zwracać uwagę na występujące w prawdziwych banknotach **wypukłości**, na napisie „NARODOWY BANK POLSKI” oraz na oznaczenia dla niewidomych. Innym wyróżnikiem jest tzw. **efekt kątowy**. Występuje on w prawym dolnym rogu poniżej wizerunku króla Kazimierza Wielkiego. W prawdziwych banknotach w zależności od kąta przechylenia banknotu widać koronę królewską lub wartość nominalu. W fałszywkach tego efektu nie ma.

W podrobionych 50-siątkach nitka z nadrukiem nominalu nie jest wtopiona, lecz widać ją gołym okiem (w prawdziwych widoczna jest tylko pod światło). Przesunięta jest bliżej środka banknotu (koło nosa króla, gdy w prawdziwych powinna dotykać orla).

Także stylizowana litera „K” jest dobrym elementem różnicującym. W prawdziwych wykonana jest farbą zmienno-optyczną. Zmienia więc kolor w zależności od kąta patrzenia. W fałszywkach zachowuje bez przerwy ten sam odcień. Ponadto fałszywki w testerach nie świecą.

Znaleziona przez policjantów partia fałszywych banknotów jest opatrzona seriami AA 8316664, AF 5605495, AE 3614862, lecz fałszerze mogą najprawdopodobniej je zmieniać.

O ile pojedyncze fałszywki można stosunkowo łatwo rozpoznać wśród prawdziwych, o tyle duże zagrożenie sprawia cały ich plik nie do odróżnienia na pierwszy rzut oka. Trzeba więc szczególnie uważać przy sprzedaży np. samochodu na giełdzie, wymiany obcych walut itp. Ale ostrożność konieczna jest oczywiście wszędzie, w sklepie, na bazarze, a nawet w banku.

T.N.

## Policjant uratował dziecko przed zgwałceniem

# UCIEKAJ, BO ZGINIESZ!

Był ostatni dzień lutego 1995 r., zapałał zmrok. Starszy sierżant Tadeusz Symeczko z Komisariatu Kolejowego Policji w Małaszewiczach (woj. białskie) miał dzień wolny od służby. Kończył właśnie z 13-letnim synem Piotrikiem prace w przydomowym ogródku koło osiedla Kołtychowa w Białej Podlaskiej. Naraz usłyszeli rozdzierający krzyk dziecka i wołanie o pomoc. Głos rzucił, raz się nasilał.

Policjant z synem porzucili pracę i pobiegli w kierunku osiedla mieszkaniowego, każdy w inną stronę. Piotrek pognął na łąkę łączącą rów melioracyjny i ogródki działkowe PKP, a jego ojciec — w głąb osiedla. Po krótkim czasie policjant usłyszał wołanie syna: „Tato! Biegnij w tę stronę! Tu jakiś zbrojeniec morduje dziecko na łące!”

St. sierż. Symeczko błyskawicznie znalazł się na miejscu zdarzenia. Zobaczył rosnącego draba, który siedział na dziecku (potem okazało się, że była to 10-letnia dziewczynka) i jedną ręką usiłował je dusić, drugą zaś ścigał z ofiary spodnie. Policjant od tyłu chwycił napastnika i oderwał go wraz z dzieckiem od ziemi. Ten na krótko puścił ofiarę, lecz zaraz znowu ją złapał i zaczął dusić, tym razem dwiema rękami.

Policjant zdecydowanie złapał bandytę za włosy i odciągnął od dziewczynki. Jednocześnie krzyknął do niej: „Dziecko! Uciekaj, bo zginiesz!”

Dziewczynka była w szoku. Z trudem łapała powietrze, była sina, miała porozpiniane ubranie i częściowo opuszczone spodnie. Obok na ziemi leżały okulary. Starczyło jej jednak siły, by zerwać się i zacząć uciekać.

Przez cały ten czas policjant usiłował powstrzymać pijanego, jak się zorientował, napastnika. Z ust bandyty płynęła pianina, widać było, że nie panuje nad sobą i jest zdecydowany na wszystko. Wzrostem i posturą przewyższał policjanta. Był rozebrany do pasa, spodnie zaś miał rozpięte i częściowo spuszczone. Zacięcie walczył, aby się uwolnić. Po dłuższej szarpaninie udało mu się wyrwać. Złapał leżące z boku ubranie — kurtkę i sweter. Zaczął uciekać i w biegu się ubierał.

Bandyta uciekał przez łąkę w kierunku zabudowań, a policjant biegł za nim. W pewnym momencie pijany zorientował się, że ma małe szanse ucieczki, zatrzymał się więc, złapał z ziemi jakiś przedmiot i zaczął nim wygrażać policjantowi, używając obelżywych słów. Tadeusz Symeczko wybił mu ten przedmiot z rąk: jak się okazało był to kawał drewna o długości ok. 1 m i średnicy ok. 10 cm. Napastnik uciekał dalej mimo wezwań „Stój, Policja!”, „Rece do góry”.

Policjant gonił go ulicami miasta aż bandyta wbiegł na teren jakiejś posesji. Z całą siłą i rozmachem zamknął przed policjantem bramę, mając zamiar w ten sposób go znokautować. Funkcjonariusz wyhamował impet bramy własnym ciałem i butem. Bandyta był już na ogrodzeniu, usiłując je pokonać, jednak Tadeusz Symeczko zdołał dobiec do niego, złapał i ścigał na ziemię.

Bandyta kopał policjanta i bił rękoma. Jeszcze raz udało mu się uwolnić, lecz gdy znowu usiłował przejść przez siatkę ogrodzeniową, policjant ścigał go i nie dał już szans na ucieczkę. Wykręcił zatrzymanemu ręce do tyłu,

chwile odpoczął i doprowadził do najbliższych zabudowań, gdzie był telefon. Tam poprosił jedną z kobiet, by zadzwoniła do Komendy Rejonowej Policji w Białej Podlaskiej i poprosiła o szybką pomoc. W kilka minut potem przyjechał radiowóz z dwoma policjantami, którzy przejęli napastnika.

Tadeusz Symeczko wrócił na miejsce, w którym sprawca usiłował zgwałcić i uduśić 10-letnią dziewczynkę. Syn Piotrek wskazał ojcu zabudowania, w kierunku których uciekło dziecko. Zgromadzili się tam zdenerwowani ludzie. Niektórzy poszli na łąkę i świecili latarkami w miejscu, gdzie rozegrało się tragiczne zdarzenie. Od zebranych policjant dowiedział się, kim była dziewczynka i gdzie mieszka.

Bandyta napadł na nią, gdy ok. godz. 18.00 wraz z 6-letnią siostrą wracała do domu. Młodsza dziewczynka uciekła w popłochu. Dzięki interwencji policjanta ofiara brutalnego napadu nie odniosła prawdopodobnie poważniejszych obrażeń. Trudno jednak przewidzieć, jakie będą konsekwencje doznane przez nią szoku psychicznego.

Pijanym zbiegłym, usiłującym zgwałcić dziecko okazał się 21-letni Jarosław C. 3 marca prokurator rejonowy zastosował wobec niego areszt.

Rodzice uratowanej dziewczynki złożyli na ręce komendanta wojewódzkiego Policji w Białej Podlaskiej wyrazie podziękowania i wdzięczności za odwagę i ofiarność st. sierż. Tadeusza Symeczki. Komendant Komisariatu Kolejowego Policji w Małaszewiczach wystąpił z wnioskiem o wyróżnienie dzielnego funkcjonariusza.

Na podstawie korespondencji rzeczni-  
ka prasowego KWP w Białej Podlaskiej  
ADAMA OKSENIUKA oprac. H.S.

## 1995 — ROKIEM KATYŃSKIM

Apelujemy do wszystkich Czytelników pragnących przyczynić się do godnego upamiętnienia pomordowanych oficerów WP i policjantów z Katynia, Charkowa i Miednoje o dobrowolne wpłaty na konto:

Polska Fundacja Katyńska, PKO  
BP XV 0/Warszawa  
nr 1658-5988-132-3



# O PRZEMOC OCIERAMY SIĘ CO DNIA

Początek lat 90. zaowocował eksplozją przestępczości w naszym kraju. W 1990 roku zanotowano 883 tys. przestępstw, w 1992 — 881 tys., w 1994 — przeszło 906 tys., o 6,3 proc. więcej niż rok wcześniej.

Kryminolodzy i socjologowie zwracają uwagę na ewolucję przestępczości w Polsce i systematyczny wzrost przestępstw najpoważniejszych, tych przeciwko życiu i zdrowiu. W ubiegłym roku w sposób zauważalny wzrosło zagrożenie, zwłaszcza przestępstwami kryminalnymi, których odnotowano 780 781.

W grupie przestępstw kryminalnych wymierzonych przeciwko życiu i zdrowiu zdecydowanie wzrosła liczba zabójstw (z 1106 w 1993 r. do 1160 w 1994 r.), zwłaszcza o charakterze rabunkowym i seksualnym.

Niepokojący jest ciągły wzrost liczby napadów z bronią w rękę. W ubiegłym roku odnotowano 963 zdarzenia o tym charakterze (o 72,3 proc. więcej niż w roku 1993). Tendencję wzrostową wykazują również takie kategorie przestępstw, jak: kradzieże mienia prywatnego (wzrost o 21,6 proc.), w tym kradzieże samochodów (wzrost o 42,2 proc.) oraz kradzieże z włamaniem do obiektów prywatnych (wzrost o 5,1 proc.).

Za symptomatyczną uznaje się brutalizację przestępstw. Pojawiła się przy tym nowa w naszych warunkach kategoria przestępstw — bandytyzm drogowy. Jeszcze w 1991 r. policja odnotowała jedynie 15 tego rodzaju

zdarzeń, w ubiegłym... 656. Sprawcami aż 412 napadów byli obywatele byłego ZSRR.

Alarmujące jest zjawisko obniżania się wieku przestępców. W 1994 r. w konflikt z prawem weszło 61 109 nieletnich, aż o 40,2 proc. więcej niż w roku 1993. Niepokój wzbudza fakt, iż coraz częściej dopuszczają się oni najpoważniejszych przestępstw. Obniża się także wiek dziewcząt uprawiających prostytucję. W grupie tej rośnie odsetek dziewcząt w wieku 14—15 lat.

Alarmującej sytuacji zagrożenia przestępczością nie zmienia nawet fakt, że poprawiła się nieco efektywność pracy policji, mierzona m.in. wskaźnikiem wykrywalności przestępstw. W minionym roku ogólny wskaźnik wykrywalności wyniósł 54,2 proc. i był odrobinę wyższy niż w 1993 roku. Niewielkiej poprawie uległa także wykrywalność przestępstw kryminalnych (z 32,2 do 35,2 proc.). Od lat dobra jest w Polsce wykrywalność sprawców zabójstw (86,9 proc. w 1994), kradzieży i wymuszeń rozbójniczych (60 proc.).

Optymiści twierdzą, że nawet niepomysłne wskaźniki nie zmieniają faktu, iż w Polsce nie jest jeszcze tak źle. Zarówno pod względem zagrożenia przestępczością, jak i efektywności pracy naszej Policji plasujemy się w średniej europejskiej.

JERZY PACIORKOWSKI

## NOWA BROŃ TERRORYSTÓW

Bomby stają się narzędziami terroru i porachunków. Posługują się nimi amatorzy haraczy, członkowie walczących ze sobą strefy wpływów grup przestępczych i gangów oraz przedstawiciele tzw. szarej strefy gospodarczej. Bomby stają się również instrumentem szantażu i odwetu wobec osób z aparatu ścigania i z instytucji wymiaru sprawiedliwości. Przystępstwa z użyciem materiałów wybuchowych (wszelkiego rodzaju bomby) wykazują niemalże skokową tendencję wzrostu, stwierdził na konferencji prasowej dyrektor Biura Operacyjno-Rozpoznawczego KGP insp. Krzysztof Jabłoński. W 1990 r.

zaistniało 21 takich zdarzeń, w 1991 — 22, w 1992 — już 53, w 1993 — 86, w roku ubiegłym zaś — aż 122!

O skali zagrożenia świadczy również duże zapotrzebowanie świata przestępczego na surowce do produkcji bomb. Terrorysty stają się inspiratorami kradzieży w kopalniach, zakładach mieniołomach i zakładach zbrojeniowych. W 1994 r. policjanci odzyskali prawie pół tony materiałów wybuchowych: 314 granatów, 1780 pocisków artyleryjskich, 247 min i 292 zapalniki.

NED

zdj. K. Mokrzyzewski





## Podłożono bombę...

9 marca południe, centrum Warszawy, plac Unii Lubelskiej. Wzdłuż ulicy Puławskiej ciągną się sznury nieruchomych tramwajów, autobusów i samochodów osobowych.

— Panie władzo, co się dzieje? — motorniczy zwraca się do zamaskowanego „komandosa” policyjnego, który stoi w drzwiach.

— Proszę opuścić wagon. Mamy zawiadomienie o podłożeniu ładunku wybuchowego.

Kilkanaście minut wcześniej w pobliżu oddziału PKO przy ul. Puławskiej, nie opodal kina „Moskwa”, z jękiem syren zajęły radiowozy, policyjny wóz pirotechniczny, karetka pogotowia, straży pożarnej i pogotowia gazowego. Pracownicy służb komunikacyjnych zatrzymali ruch tramwajowy, a nadjeżdżające autobusy zaczęły kierować na trasy okrężne.

— Ten g...., który to zrobił — dyspozytor klinie pod nosem — powinien wisieć na najwyższej warszawskiej latarni. Nadchodzi godzina szczytu, a centralny węzeł komunikacyjny jest nieprzejezdny. Wszystkie rozkłady jazdy zawałyły się na co najmniej cztery godziny.

Mijają nas przechodnie, spieszą się. Kilkanaście metrów dalej zatrzymuje ich policjant.

— Nie ma przejścia, proszę cię cofnąć — funkcjonariusz rozkłada szeroko ręce.

— Ale ja muszę iść do dziecka — kobieta przekłada do drugiej ręki ciężką siatkę. — Zostało samo w domu.

— Znowu, cholera, robicie jakieś manewry? — dziadek stukając gniewnie łaską o chodnik. — Podobno bombę gdzieś tu podłożyli. — Mężczyzna w skórzanym kurtce wciska ręce do kieszeni.

— Jaką tam bombę — denerwuje się dziadek. — Pudełko w śmieciach znaleźli. Pudełko!

Podobne rozmowy toczą się na zablokowanych przejściach po drugiej stronie ul. Puławskiej i Rakowieckiej.

Podinsp. Jacek Ziółkowski, komendant mokotowskiej Policji stojący w pobliżu ekipy pirotechników sięga po radiostację.

— Jak najszybciej przyslijcie chłopaków z batalionu pogotowia. Niedługo ludzie będą wychodzić z kina. Mam za małe siły...

Idę w stronę „komandosów” pomagających pirotechnikom założyć skafander antyodłamkowy. Jeden z „tygrysów” widząc w moim ręku aparat fotograficzny rusza ostro w moim kierunku. Dzięki interwencji komendanta KRP Warszawa-Mokotów, otrzymuję, acz niechętnie, zgodę na zrobienie kilku zdjęć.

— Gdzie jest ładunek wybuchowy? — pytam.

— Na froncie w koszu na śmieci. Godzinę temu jakiś anonimowy facet do nas (policji) zakreślił. Dziś w nocy była podobna historia. Na szczęście to był fałszywy alarm.

Podobnie było i tym razem. Paczka znajdująca się we wskazanym koszu na śmieci okazała się niegroźna. Po dwóch godzinach ruszyły pierwsze tramwaje i autobusy.

PAWEŁ SZLACHETKO

## FALSZYWKI

Biały samochód marki Nissan na litewskich numerach rejestracyjnych został zatrzymany przez patrol stołecznej drogówki. Kierowca, Litwin, bez oporu podał policjantom żądane przez nich dokumenty. Na pytanie: co wiecie w bagażniku? — Litwin odparł: części zapasowe do samochodu, akcesoria oraz inne drobiazgi. Policjantów nie zadowoliła ta odpowiedź. Litwin został poproszony o otwarcie pokrywy bagażnika. Tego pragnął uniknąć. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Powiedział funkcjonariuszom, iż spieszy mu się, gdyż jest umówiony w litewskiej ambasadzie. Podkreślał swój status przyjaznego cudzoziemca.

Policjanci byli nieusłowni. Litwin w końcu otworzył bagażnik. Policjanta zainteresowało tekturowe pudło.

— Co w nim jest? — zapytał. Odpowiedzi nie było. Sam więc podniósł wieko i ujrzał stos banknotów o nominalnie 50 000 rubli każdy. Łącznie w pudle znajdowało się 50 mln rosyjskiej waluty.

Litwina zatrzymano. Kilkanaście godzin później został tymczasowo aresztowany przez Prokuraturę Wojewódzką w Warszawie. Ruble okazały się fałszywkami. Wydrukowano je na papierze ze znakami wodnymi. Falszerstwo mogli zatem wykryć jedynie specjaliści.

Fałszywe ruble zaczęły się pojawiać w Polsce już od 1993 roku. Lecz w takiej ilości jak obecnie znaleziono je po raz pierwszy. Litwin ze swymi 50 milionami przewożonymi w bagażniku nissana stał się ważnym ogniwem rozwoju sprawy, którą wspólnie z funkcjonariuszami UOP prowadzą stołeczni policjanci. Postępowanie procesowe prowadzone jest bez rozgłosu. Wiadomo jednak, że 21 kwietnia ub. r. wszczęto śledztwo przeciwko zorganizowanej grupie przestępczej, która nabywała potajemnie urządzenia drukarskie i papier do produkcji banknotów, fałszywych dokumentów, biletów, komunikacji miejskiej oraz banderol akcyzowych.

Celem nadania fałszywkom znamion autentyczności, przestępcy zabiegali o wysoką jakość surowców i urządzeń technicznych. Maszyny poligra-

ficzne, a przede wszystkim papier, sprowadzano z państw ościennych. M.in. zaimportowano dziesięć ton doskonałego papieru w dwóch partiach, po pięć ton każda.

O działalność tę podejrzewano pięć osób. Wobec trzech prokurator zastosował tymczasowe aresztowanie. Jedna została wypuszczona na wolność za poręczeniem majątkowym w wysokości 50 mln złotych (starzy). Wobec piątej osoby zastosowano dozór policyjny.

W czasie przesłuchań jeden z podejrzanych wyjaśnił, że importowany papier był mu potrzebny do wydrukowania tzw. cegiełek, by zdobyć fundusze na budowę kościoła. Cegiełki miała rozprowadzać wśród wiernych rada parafialna. Oczywiście kłamstwo zostało szybko zdemaskowane. Nikt bowiem nie upoważnił podejrzanego do tej działalności.

Papier przeznaczony do produkcji fałszywek odzyskano. Nie wiadomo jeszcze, gdzie się znajduje drukarnia fałszywych rubli.

Niejasna jest nadal rola zatrzymanego i aresztowanego Litwina. Grozi mu kara z art. 227 § 2 k.k. Śledztwo w toku.

EDWARD NOWAK



zdjęcia: Paweł Szlachetko



## TO JEST NAPAD

W sobotę, 4 marca br. o godz. 11.00 sprzed Dworca Centralnego PKP autokar „Harcuru” z kompletem turystów wyruszył z Warszawy do Istanbula. Wśród podróżnych panował wesoły nastrój. Wszystkich fascynowała długa i ciekawa podróż przez kilka krajów Europy.

Kilkanaście kilometrów za Warszawą dwaj młodzi mężczyźni powstałi z miejsc i nalożyli kominiarki. W ich rękach pojawiła się broń: pistolet kal. 9 mm oraz automatyczny karabinek Kalasznikowa. Jeden z napastników groził bronią pasażerom, drugi zajął się kierowcami, obywatelami Turcji. Nakazano im posłusznie wykonywać rozkazy.

Próby buntu kierowców natychmiast sparaliżowano silnymi ciosami zadawanymi pięścią i pistoletem oraz dwoma strzałami. Jeden z pocisków zranił kierowcę w ramię.

W dalszą drogę autokar poprowadził zamaskowany bandyta, którego asekurował napastnik z kalasznikowem. Po ujęciu kilkuset metrów zatrzymał się. Do autokaru weszło kolejnych trzech bandytów. Jechali oni od początku trasy za autokarem skradzionym mercedesem.

Bandyci sterroryzowali pasażerów, bili ich i grozili za-

strzeleniem. Mężczyznom zakładali kajdanki. Zażądali wydania pieniędzy, dewiz, obrączek, pierścionków oraz innych kosztowności. Brutalnie zrywali kobietom z szyj złote łańcuszki. Poza biżuterią, bandyci zrabowali turystom ponad 200 tys. USD.

Po około 20 minutach w okolicach Śękocina, autokar skręcił w boczną drogę. Po zatrzymaniu autobusu w lesie bandyci otworzyli luki i wydobyli z nich walizki turystów. Po ich dokładnym splądrowaniu, cenniejsze rzeczy przenieśli do mercedesa. Na koniec przestrelili opony autokaru i odjechali.

Z kajdankami na rękach kierowca dotarł do szosy. Tam udało mu się zatrzymać samochód, którym został podwieziony do radiowozy drogówki.

Wszczęty pościg nie doprowadził do zatrzymania sprawców napadu. Policjanci znaleźli tylko porzuconego mercedesa w Nadarzynie pod Warszawą.

Dwaj bandyci, którzy znajdowali się w autokarze jako turyści, mieli autentyczne paszporty, ale nie własne. Jeden paszport został skradziony, a drugi zgubiony.

dokończenie na str. 7



— W roku ubiegłym do Rzecznika Praw Obywatelskich wpłynęło ponad 33 tys. nowych wniosków i 51 013 listów. Jakie sprawy związane z działalnością Policji poruszali w tych zażale- niach obywatele?

— Nigdy dotąd Rzecznik Praw Obywatelskich nie otrzymał tylu listów, w których obywatele wyrażali brak zaufania do władzy. Napływały skargi na urzędy, sądy i władzę ustawodawczą oraz na działania ministrów i prezydenta. Jeśli chodzi o skargi na działania Policji, to niepokojący był fakt, iż zwiększyła się liczba skarg na brutalne działania poli- cji i funkcjonariuszy UOP: pobi- cia i przekroczenia granic po- trzeby użycia przymusu fizy- cznego wobec obywateli. W mi- nionym roku wpłynęło 311 ta- kich skarg.

— Nie chciałabym Panie Pro- fesorze być zrozumiana, że bron- nię tych, którzy naruszają uprawnienia, ale 311 skarg na ponad 90 tys. policjantów, i iluś funkcjonariuszy UOP, to chyba nie jest dużo?

— W każdym środowisku za- wodowym jest jakiś ułamek pro- centa osób, które niezbyt rzetel- nie wykonują swoją profesję. Gdyby tę sprawę rozpatrywać w kategoriach ilościowych, to zgad- zam się z pani oceną, ale prob- lem jest nieco szerszy.

Niemal wszystkie zażalenia obywateli do organów prokura- torskich zakończyły się posta- nowieniami umarzającymi po- stępowanie. Obecnie każde orzeczenie prokuratorskie od- mawiające wszczęcia postępo- wania przygotowawczego, bądź je umarzające, stanowi właściwie zamknięcie drogi sądowej, a więc narusza obywatelskie pra- wo do sądu. Jedyne niezawisły sąd może ocenić, czy orzeczenie prokuratorskie było uzasadnio- ne, czy nie.

— Zarzut pobicia wysunięto w 58 z pośród 311 skarg — są to dane z ostatniego sprawozdania Pana Rzecznika?

— Pozostałe zarzuty to m.in. groźenie bronią, nakłanianie do składania fałszywych zeznań, agre- sywne zachowanie itp. Wśród tych 58 przypadków w 6 od- mówiono wszczęcia postępo- wania, w 12 postępowanie umo- rzono, do skazania funkcyjnar- iusza doszło tylko w jednej sprawie.

Należy również zauważyć, że motywacji decyzji prokurator- skich nie można postawić zarzu- tu niewiarygodności czy celo- wego działania zmierzającego do uchronienia policjantów lub funkcjonariuszy UOP od odpo- wiedzialności karnej czy dyscy- plinarnej. Przypadki te, jakkol- wiek z formalnoprawnego punktu widzenia są prawidłowe, mogą jednak budzić wątpliwości, czy istotnie w tych sprawach wy- czerpano wszystkie możliwości dowodowe, a co ważniejsze — czy ocena okoliczności zdarze- nia i zachowania się funkcyjnar- iusza Policji była wszechstronna i całkowicie obiektywna.



Z prof. dr TADEUSZEM ZIELIŃSKIM  
— Rzecznikiem Praw Obywatelskich  
rozmawia Elżbieta Cierlica

I POLICJANT,  
I PRZESTĘPCA  
SĄ OBYWATELAMI

Uważam, że kontrola sądowa nad orzeczeniami prokurator- skimi leży również w interesie Policji. Fakt, iż prawie wszystkie skargi zgłaszane przez obywateli były nieuzasadnione, budzi bo- wiem podejrzenie. Utrwała nies- luszne przekonanie, że obywatel z reguły przegrywa z policją, że nigdy nie dojdzie sprawiedli- wości. Może jedynie narazić się na zarzut zniesławienia władzy.

— Myślę, że „władza” jest narażona na zarzuty również?

— Jest rzeczą naturalną, że pogwałcenia praw obywatel- skich zdarzają się najczęściej w procesach stosowania prawa przez władzę wykonawczą i są- downiczą.

W 1994 roku, w przeciwień- stwie do lat poprzednich, nie by- ło dużo skarg na naruszenie praw przez policję „przez zanie- chanie”. Ale wystarczy przyto- czyć dwa przykłady: szantażo- wania właścicieli restauracji na Starym Mieście w Warszawie i brak interwencji policji na Dworcu Wschodnim, by stwier- dzić, że były to naruszenia zna- czące. W tych sprawach, w wy- stąpieniu do prokuratora rejo- nowego, przypomniałem, że formalną przeszkodą wszczęcia postępowania nie jest niezło- żenie przez pokrzywdzonego za- wiadomienia o przestępstwie, gdy o fakcie działań przestępczych właściwe organy powzięły wiadomość z innych źródeł. W od- powiedzi prokurator wojewódz- ki powiadomił, że wszczął śledz- tow. Sprawa jest w toku.

— Żeby zakończyć temat skarg na działalność policji, na- leżałoby jeszcze powiedzieć...

— O przypadkach naruszeń praw obywatelskich w wyniku działań o charakterze adminis- tracyjnym. Dotyczą one: obciąż- nienia kosztami zabezpieczenia samochodu — dowodu rzeczow- ego, sposobu wypełniania przez funkcjonariuszy blankie- tów mandatów, odbierania kra- dzionych samochodów i usuwa- nia niewłaściwie zaparkowanych pojazdów.

Postuję się kilkoma przykła- dami:

Jedna z komend rejonowych obciążyła obywatela kosztami parkowania samochodu, zabez- pieczonego jako dowód rze- czowy w postępowaniu karnym. W tej sprawie wystąpiłem do prokuratora apelacyjnego i w efekcie doprowadziło to do zwrotu kosztów zainteresowane- mu. Zagadnienie to było już te- matem wystąpienia do Depart- amentu Prokuratury MS, który przekazał w tej sprawie swoje stanowisko do prokuratorów wojewódzkich o niedopuszczal- ności obciążania kosztami postę- powania karnego (a koszty za- bezpieczenia dowodu do nich należą) innych podmiotów, niż wymienione w art. 542 k.p.k. A więc wszelkie wydatki w toku postępowania karnego wykłada tymczasowo Skarb Państwa.

Policjant wystawił mandat kar- ny bez wyraźnego określenia, za jakie wykroczenie zostaje nato-



żony. Czy tak wypisany i przyjęty dokument ma moc obowiązującą? Z uzyskanej opinii Departamentu Sądów i Notariatu Ministerstwa Sprawiedliwości, podzielonej także przez Biuro Prawne MSW, wynika, że dokładne wypełnienie kwitu mandatowego jest nieodzowne, ale przyjęcie mandatu dotkniętego taką wadą, nie powoduje jego nieważności.

**— Zdaję sobie sprawę, że nie wyczerpalimy tematu, ale chciałabym zapytać o drugą stronę zagadnienia, o naruszenia praw policjantów?**

— W 1994 roku do biura wpłynęło 268 skarg indywidualnych od funkcjonariuszy Policji (245), Straży Granicznej (21) oraz UOP (2). Najwięcej dotyczyło ustawy emerytalnej, potem w kolejności były: zwolnienia ze służby, weryfikacja 1990 r., sprawy mieszkaniowe, szykanowanie przez przełożonych (7), pozwolenia na broń, skargi na działania urzędu, lecznictwo resortowe, odszkodowania za wypadki itd., itd. Skarżono się też na ponad dwuletnią bezczynność w wykonaniu orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego z 29 stycznia 1992 roku w sprawie wstrzymania w 1991 roku rewalizacji plac w sferze budżetowej. Znaczna większość tych skarg, w tym dotyczących weryfikacji, była zasadna. Skierowałem więc wystąpienia do Ministra Spraw Wewnętrznych, Prokuratury, Sejmu RP... Niektóre sprawy udało się rozwiązać, inne, jak np. weryfikacja, ciągle są w toku załatwiania.

**— Wizytował Pan również jednostki Policji, rozmawiał z przedstawicielami NSZZP, jakie problemy poruszano na spotkaniach z Rzecznikiem Praw Obywatelskich?**

— Moje wizyty w jednostkach policji, mimo że są robocze, mają nieco odświętny charakter. Podejmowany jestem przez kierownictwo jednostki, spotykam się z policjantami na kilkugodzinną nieraz rozmowę, nie mogę jednak dotrzeć do najsłabszych punktów, nie mogę prowadzić rozmów z policjantami na stanowiskach wykonawczych. Jest to więc takie trochę niepełne spojrzenie na problemy policjantów. Znacznie lepsze rozeznanie mają moi współpracownicy, którzy, gdy ja biorę udział w spotkaniu, docierają tam, gdzie powinien dotrzeć rzecznik. I z ich wiedzy korzystam, by mieć pełniejsze rozeznanie.

Za bardzo ciekawe i wartościowe uznałem spotkania z kadrami i słuchaczami Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie oraz Szkoły Policji w Słupsku. W najbliższym czasie wybieram się do Centrum Szkolenia Policji w Legionowie.

Po każdym spotkaniu mam jednak sporo uwag zarówno dotyczących warunków pracy policjantów — są one bardzo trudne, nieraz urągające przepisom o bezpieczeństwie, jak i zasad stosowania przepisów prawa.

**— Skierował Pan w ubiegłym roku kilkanaście wystąpień do ministra spraw wewnętrznych. Jak reaguje szef resortu na uwagi Rzecznika Praw Obywatelskich? Czy długo oczekuje Pan na odpowiedź?**

— Reakcja na moje wystąpienia zarówno pana ministra Milczanowskiego, jak i jego zastępców z reguły jest prawidłowa i szybka. Były jedynie kłopoty z odpowiedzią na wystąpienie w sprawie ekspedycji żołnierzy polskich na Haiti, ale wynikało to z tego, że MSW było jednym z trzech ministerstw, które mogło udzielić odpowiedzi. Uznało, że sprawa ta leży również w kompetencjach MON lub MSZ. W rezultacie na moje wystąpienie odpowiedział premier Waldemar Pawlak.

Szef MSW często zgadza się z moimi opiniami, szczególnie w sprawach dotyczących należności dla funkcjonariuszy służb resortu, często przedstawia swoje racje. Tam, gdzie wchodzi w grę pieniądze, sprawa, mimo zbliżonych opinii, jest nie do załatwienia.

W sumie cenię sobie współpracę z MSW. Jest rzeczowa i skuteczna.

**— Skoro wszystko jest dobrze, lub prawie dobrze, to dlaczego jest źle. Dlaczego zagrożone jest bezpieczeństwo obywatela?**

— Leży mi bardzo na sercu dobro obywateli, ale nie mogę zaniechać występowania w obronie skazanych, gdy naruszone zostaną ich obywatelskie prawa, nie mam też żadnych środków do zwalczania przestępczości. Nie jestem nawet do tego upoważniony. Są organy ścigania: policja, prokuratura i do nich to należy. Rzecznik może wystąpić wówczas, gdy te podmioty nie działają. I robię to, gdy dowiaduję się, że odpowiedzialni za ściganie zachowują się biernie, a pokrzywdzeni obywatele czekają na sprawiedliwość.

Robię to również wtedy, gdy widzę, że prawo jest instrumentalnie traktowane przez polityków, gdy wykazują, że mamy wadliwy, niespójny system prawny, na który składają się akty pochodzące z różnych okresów, zmienne, nie zharmonizowane ze sobą.

Ale społeczeństwo musi uświadomić sobie, że nasilenie przestępczości przeciw życiu i zdrowiu oraz mieniu, częstsze powroty na drogę przestępczą, wzrost wszelkich przejawów patologii społecznej są w znacznej mierze konsekwencją wielkiego bezrobocia, alkoholizmu i powszechnej biedy. Stara to prawda, że społeczeństwo, które nie stworzyło warunków godziwego bytowania wszystkim swoim członkom, nie ma tytułu do żądania dla nich okrutnych kar.

**— Dziękuję za rozmowę**

zdj. K. MOKRZYŃSKI

## TO JEST NAPAD

dokończenie ze str. 5

Praca operacyjno-śledcza zmierzająca do ustalenia napastników oraz ich zatrzymanie — trwa. Na podstawie zeznań świadków sporządzono dwa portrety pamięciowe bandytów — uczestników wycieczki „Harcuru”.

★

Też soboty, 4 marca br. o godz. 22.00 pięciu innych bandytów dokonało napadu na autobus wiozący kilkudziesięciu Białorusinów. Napastnicy weszli do pojazdu w Radzyminie, podczas krótkiego postoju autotokaru. Byli uzbrojeni w pistolety, które później okazały się gazowcami. Sterroryzowanym

cudzoziemcom zabrano dokumenty, kilka tysięcy dolarów oraz cenniejszą odzież, przeważnie skórzaną.

Zaalarmowana policja weszła pościg za sprawcami napadu. Policjanci zatrzymali niebawem 55-letniego Jana S., odsiadującego wyrok za rozboje. Podczas napadu przebywał on na przepustce otrzymanej za dobre sprawowanie. Jako drugi, zatrzymany został w nocy z niedzieli na poniedziałek 16-letni Artur B. Kolejno w ręce policjantów dostali się: Sławomir F. i Adam J. Ukrywa się piąty napastnik, 30-letni Leszek S. Miał pecha, gdyż w miejscu napadu zgubił swój dowód osobisty, co ułatwiło policjantom ustalenie jego tożsamości.

E. N.

## GANG ROZBITY

Z pierwszych, uzyskanych przez policjantów drogą operacyjną, informacji wynikało, że Stargard Szczeciński jest siedzibą przestępczej, bardzo dobrze zorganizowanej, grupy kradzież samochody.

W wyznaczonym dniu kilka zespołów policjantów ze Szczecina i Stargardu przystąpiło równocześnie do zaplanowanych przedsięwzięć. Policjanci zatrzymali, a prokurator aresztował, pięciu mężczyzn zamieszkałych w Szczecinie oraz w Stargardzie Wasilija D., Ukrainca. Na każdego z podejrzanych przypadł jeden zabezpieczony przez policjantów samochód. Jak wykazały badania przeprowadzone w Laboratorium Kryminalistycznym KWP, cztery samochody pochodziły z kradzieży, a dwa zostały wprowadzone na polski obszar celny bez stosownych formalności i opłat.

Już przed realizacją tej sprawy policjanci wiedzieli, że przestępcza grupa ze Stargardu Szczecińskiego zajmowała się nie tylko kradzieżą luksusowych aut w Polsce i za granicą, lecz również ich formalną adaptacją. Informacje operacyjne wskazywały, że w mieszkaniu należącym do 34-letniego Zbigniewa R. ze Szczecina „legalizowano” skradzione samochody. Z lokalu tego korzystał też 22-letni Piotr B. Urządzone tam była nowoczesna pracownia poligraficzna z komputerem IBM najnowszej generacji i drukarką wysokiej klasy. Obok komputera znajdował się skład dobrych gatunków papieru, dobrych gatunków wodnymy, na m.in. ze znakami wodnymi, na których drukowane są ważne dokumenty używane w zachodniej Europie. Podczas przeszukania znaleziono gotowe już produkty w postaci fałszywych dokumentów rejestracyjnych in blanco, niemieckich, szwajcarskich, kanadyjskich i francuskich z naniesionymi pieczęciami.

Rewelacyjnych informacji dostarczył przywieziony do KRP w Stargardzie komputer, którym posługiwali się przestępcy. Na twardym dysku i zabezpieczonych dyskietkach

specjaliści z Wydziału Kryminalistyki KWP w Szczecinie ujawnili m.in.: dowody rejestracyjne pojazdów in blanco, stosowane w wielu państwach Europy i Ameryki Płn., karty ubezpieczeniowe polskie i zagraniczne, czenniwe polskie i zagraniczne, pieczęcie urzędów komunikacyjnych z polowy Europy, tabliczki znamionowe różnych pojazdów mechanicznych oraz tzw. wyklejki czyste i zapisane służące do fikcyjnej legalizacji pojazdów. Informatorzy z KWP przy użyciu należącej do przestępców drukarki laserowej i zabezpieczonego komputera, sporządzili wydruki pomieszczonych w pamięci i na dyskietkach, dokumentów. Stwierdzonych w pamięci jest niedozono, że ich jakość jest niezwykle wysoka i w niewielkim stopniu odbiega od oryginałów. Tylko dużej klasy fachowcy mogą odróżnić fałszyfikaty od dokumentów autentycznych.

Praca operacyjna, ściśle powiązana ze śledczą, w tej sprawie daje wciąż nowe zaskakujące rezultaty. Zgodnie z przewidywaniami, policjanci znaleźli się na tropie gangu o szokującym wprost zakresie działalności oraz — składzie osobowym.

Obecnie, w areszcie śledczym znajduje się już... dwadzieścia siedem osób podejrzanych o ścisły związek z tą sprawą. Równocześnie policjanci odzyskali trzydzieści samochodów! W gronie osób, które prokurator aresztował, są m.in.: znany w kraju i za granicą sportowiec, ptywak długonocny sportowiec, policjant z KRP w Stargardzie Szczecińskim, były policjant ze Szczecina oraz pracownik naukowy, informatyk również ze Szczecina.

W ręce policjantów z KWP KRP wpadły dwie kolejne drukarki z wyposażeniem podobnym do tego, które ujawniono podczas pierwszej realizacji.

Z danych operacyjnych wynika, że wszystkie zabezpieczone samochody, po fikcyjnej legalizacji, miały być wyprawa na rynki krajów wschodnich: Litwy, Ukrainy, Białorusi i Federacji Rosyjskiej

EDWARD NOWAK



# KOMANDOS ZAWSZE W AKCJI

ELŻBIETA SITEK



„Szanowny Panie Pośle! Osobiście na pewno mnie pan nie zna, ale kiedyś uratował mi Pan życie. Byłem jednym z pasażerów samolotu porwanego przez terrorystę, a pan był wtedy policjantem”...

— To stare dzieje — mówi odkładając list poseł Jerzy Dziewulski. — Historia z policyjnego rozdziału mojego życia.

Ten rozdział to już przeszłość, za to taka, że można o niej napisać sensacyjną książkę. Rozdział dzisiejszy, czyli działalność poselska, jest znacznie mniej fajerwerkowy, ale i tam barwna osobowość i niespokojny duch Dziewulskiego z trudem mieszczą się w tradycyjnych ramach...

## ROZDZIAŁ PIERWSZY — SUPERGLINA

Superglina. Jedni nazywają go tak złośliwie, inni z uznaniem. W złośliwości jest sporo zazdrości, bo jeszcze nim został posłem, był znany policjantem, który wielokrotnie uczestniczył w głośnych akcjach obezwładniania uzbrojonych przestępców. Nie unikał przy tym prasy i lubił tę odrobinę rozgłosu wokół siebie, a to przysparzało mu zazdrośników. Inni nazywają go tak ze szczerym uznaniem, bo nieraz udawał, że na sprawach bezpieczeństwa zna się nie z za biurka, lecz jako praktyk.

Praca w policji to miała być wielka przygoda. Tak sobie ją wyobrażał, kiedy w 1966 r. zaraz po studiach (Wydział Prawa UW) podjął służbę jako wywiadowca w komendzie na Żoliborzu. Dla pełnej szczerości dodaje, że nie bez znaczenia był fakt, iż zarobki w ówczesnej milicji były naprawdę atrakcyjne. Nie to, co dzisiaj...

Od 1968 roku, kiedy jako ochotnik uczestniczył w akcji zatrzyma-

nia uzbrojonego bandyty, co wówczas było rzadkością, nie opuszczała go myśl, że w policji powinny być specjalnie wyszkolone grupy do zatrzymywania szczególnie niebezpiecznych przestępców. Tą ideą przez wiele lat bezskutecznie usiłował zainteresować przełożonych. Dopiero kiedy w latach 70. zaczęły się porwania samolotów, jego pomysł nabrał realnych kształtów i wreszcie w 1976 roku doczekał się realizacji. Jerzy Dziewulski, wówczas kapitan milicji, został zastępcą komendanta Komendy Centralnego Portu Lotniczego Okęcie ds. zabezpieczenia lotów. Od tego momentu — do 1990 roku, kiedy został posłem — wraz ze swoimi 18 chłopakami z grupy specjalnej — uczestniczył w kilkunastu niebezpiecznych akcjach.

Pamięta je wszystkie ze szczegółami i nie umie powiedzieć, która z nich była najbardziej niebezpieczna. No bo jaka to różnica, czy terrorysta miał kałasznikowa, którym szantażował załogę, czy zwykłą żyłkę, którą trzymał przy tętnicy szyjnej kilkuletniego dziecka?

— Zanim zaczęliśmy akcję, zapytałem wtedy lekarza: „Panie doktorze, co się stanie, jeśli spóźnimy się o ułamek sekundy i on zdąży pociągnąć tą żyłkę”? Usłyszałem: „Dziecko umrze w ciągu kilkunastu sekund”. I z tą świadomością przystępowałem do akcji — wspomina. — Udała się na szczęście...

W 1981 r. czterech młodych ludzi opanowało tuż po starcie samolot lecący do Gdańska. Porywacze rozłali na pokładzie płyn łatwopalny, żyłką kaleczyli stewardesę, a jednemu z pasażerów założyli na szyję pętlę grożącą powieszeniem, jeśli samolot nie odleci na Tempelhof. Pilot dostał polecenie, żeby lecieć dalej, a po pewnym czasie zawrócić i lądować ponownie na Okęcie. Porywacze nie zorientowali się, była noc i oświetlone tylko pasy startowe. Grupa antyterrorystyczna musiała dostać się do będącego jeszcze w ruchu samolotu z jadącego równoległe z nim samochodu. Stojąc na dachu uaza Dziewulski otworzył drzwi samolotu. Kiedy wczolgując się do środka zawołał: „Wszyscy na ziemię”, jakaś dziewczyna pokazując go krzyknęła: „Te sk... syny wykołowali nas! Zabij go!”. Terrorysta rzucił się do niego z wycelowaną bronią, a wtedy ochraniający policjant nacisnął spust... Resztę obezwładnili w ciągu kilku sekund... Pasażerowie długo nie mogli ochłonąć. Potem jedni historycznie płakali, inni bili brawo. Obecny na pokładzie ksiądz zapytał: — Panowie, czy musieliście strzelać do tego chłopca?!

— Takie sytuacje, to nie czas teoretycznych rozważań. Ułamki sekund decydują o ludzkim życiu. To jest „zabawa” dla prawdziwych mężczyzn...

W 1988 r. była sławna solowa akcja. Mężczyzna uzbrojony w cztery granaty sterroryzował autobus jadący z woj. kieleckiego do Warszawy i zażądał jazdy na Okęcie, a tam podstawienia samolotu do Berlina. Kiedy na Okęcie do tego autobusu wsiadł nagle roztagriony mężczyzna w sportowym amerykańskim stroju, który zapomniał paszportu i musiał po niego wrócić do Kielc, terrorysta nie zorientował się, z kim naprawdę ma do czynienia.

— Przez kilka godzin grałem głupka, zwariowanego amerykańskiego Polonusa, który zapomniał paszportu i musi się dostać do Kielc akurat tym autobusem, bo nie stać go na taksówkę. Staralem się nawiązać kontakt z terrorystą, nić porozumienia, na zasadzie „między nami facetami, którzy szybko muszą rozwiązać swój problem”. Z terrorystami miałem do czynienia wiele razy i wiedzia-







łem, że podświadomie szukają kogoś, kto mógłby być ich łącznikiem ze światem, przeciwko któremu się zbuntowali. Udawałem więc, że jedziemy na jednym wózku. A on tymczasem obejmował wpół zakładnika, któremu uwiesił na szyi dwa granaty. To naprawdę nie była zabawa, bo tamten mężczyzna w każdej chwili mógł zginąć. W pewnym momencie zażądałem przyjsia jakiegoś policjanta. Gdy podchodził do autobusu wiedziałem, że życie zakładnika i ludzi w tym autobusie zależy od jego inteligencji. To był mój podwładny, który nie wiedział przecież, o co chodzi i widząc mnie mógł zaszutować i zameldować się: „Panie majorze!” i tak dalej. Wytyżyłem całą wolę, żeby przekazać mu wzrokiem to, co myślę. Nie wiem, jakim cudem mi się to udało, ale on zrozumiał. Nie drgnęła mu nawet powieka, kiedy w imieniu terrorysty dyktowałem warunki, aby wprowadzono autobus na lotnisko i podstawiono samolot... I tak dalej, i tak dalej... Po 7 godzinach różnych pozorowanych działań udało się wyprowadzić z autobusu wszystkich pasażerów. Zostałem tylko ja i terrorysta z zakładnikiem. Wtedy przestępca zorientował się, że coś tu nie gra i zdesperowany oderwał zawleccki od wszystkich czterech granatów. W tym samym momencie rzuciłem się na niego. Na szczęście wybuchł tylko jeden granat. Uratowałem zakładnika, choć zapłaciłem za to pęknięciem trzustki podczas uderzenia o poręcz autobusowego fotela...

#### PODROZDZIAŁ — PRZYGODA Z FILMEM

— Tu porucznik Borewicz! Ściagany dostał się na pokład samolotu. Ma zakładnika. Jąde na lotnisko. Zorganizuj chłopaków Dzie-

wuła! — wołał przez radiostację główny bohater sławnego serialu „07, zgłoś się”!

Najbliżsi mówili poufale „Dzie-wul” i tak zostało do dzisiaj. Stał się postacią znaną, wręcz gwiazdorem telewizyjnym, bo autentyczne ak-

cje, które prowadził, posłużyły za kanwę filmowych wątków. w których nagraniu uczestniczył. Zagrał w kilku odcinkach serialu „07 zgłoś się”. Żadnego fikcyjnego bohatera, po prostu odtworzył siebie samego, swoje działania z niektórych akcji. Rzeczywistość, którą znał, była bardziej filmowa od niejednego scenariusza. Jedną ze scen była wcieleniem odtworzeniem opisanej wyżej próby uprowadzenia samolotu przez czworo młodych terrorystów. Podczas kręcenia na potrzeby filmu akcji otwierania drzwi samolotu z dachu jadącego samochodu, jeden z policjantów spadł na ziemię i doznał poważnej kontuzji. To była jedyna kontuzja w całej grupie antyterrorystycznej podczas kilkunastu lat jej działania...

Oprócz supergliniarza w kilku odcinkach „07” grał też policjanta w „Chichocie Pana Boga” oraz terrorystę w komedii „Ga-ga, chwala bohaterom”.

Wprawdzie filmowy epizod w swoim życiu traktuje z przymrużeniem oka, ale zaraz dodaje w zwykły sobie emocjonalny sposób:

— Jak Boga kocham, jestem przekonany, że to przetarcie filmowe pomogło mi zagrać wymyśloną przez siebie rolę wtedy, w terroryzowanym autobusie...

#### ROZDZIAŁ DRUGI — POSEŁ

W 1991 r. Janusz Rewiński zaproponował mu startowanie do Sejmu z Polskiej Partii Przyjaciół Piwa. Zgodził się, choć piwo lubi umiarkowanie, bo propozycja miała posmak przygody. Tak jak przed laty początek pracy w milicji. W październiku 1991 roku został pos-

łem na Sejm Rzeczypospolitej. Nie wiedział, że przygoda okaże się ciężką harową.

Nie znał się na polityce, więc przez pierwsze miesiące siedział cicho i uczył się wszystkiego. Podpatrywał innych posłów, pytał tych, którzy chcieli odpowiadać. Uczył się swojej nowej funkcji od fachowców, tak jak kiedyś robił to w milicji.

— Po pewnym czasie już wiedziałem, co jest ważne. Po pierwsze: do Sejmu albo przychodzisz z autorytetem, albo musisz go zdobyć, po drugie — nie możesz znać się na wszystkim, bo będziesz śmieszny, wybierz więc to, na czym znasz się naprawdę, po trzecie — jeśli chcesz przemawiać, naucz się mówić logicznie, interesująco, a przede wszystkim wyraźnie...

Pierwsze jego wystąpienie w sejmowej trybunie dotyczyło przedsiębiorstwa LOT, które znał nieźle z racji 15 lat pracy na lotnisku. Podczas wystąpienia czuł lekką treść, coś, czego nie znał podczas antyterrorystycznych akcji. Następnie dotyczyło sprawy policyjnych emerytur i poszło znacznie lepiej.

W Sejmie I kadencji był wiceprzewodniczącym Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych oraz członkiem Komisji Transportu. Jako wiceprzewodniczący i właściwie jedyny fachowiec „w temacie” wszedł w skład nadzwyczajnej komisji sejmowej powołanej do zbadania słynnej „afery teczkowej”.

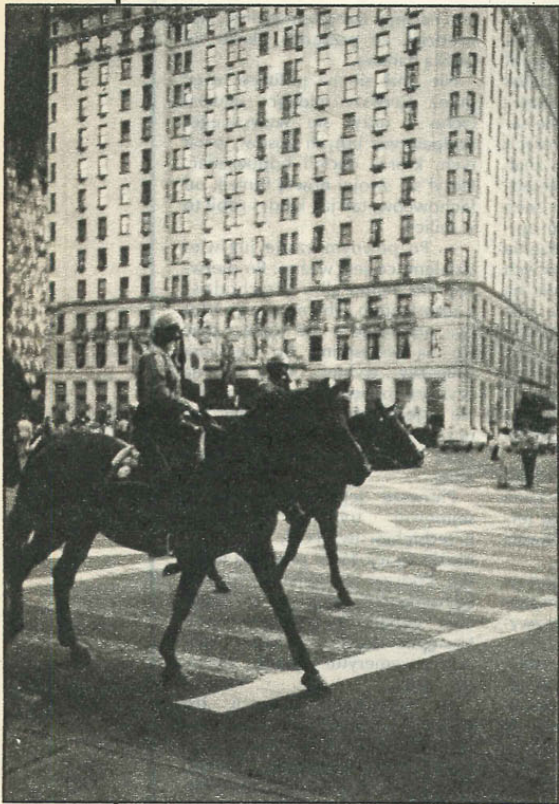
Do Sejmu II kadencji wszedł z listy SLD jako poseł z Suwałk. Miał już doświadczenie parlamentarne, pozwalające na profesjonalne wykonywanie tej funkcji. Zainstalowany w domu komputer służył zbieraniu i porządkowaniu informacji o regionie, który reprezentuje. Rejestruje każdy otrzymany list zaznaczając poruszany w nim problem. Gdy jedzie na spotkanie z wyborcami czy przedstawicielami władz, komputer przygotowuje mu odpowiedni zestaw danych. Na każdy z blisko setki listów miesięcznie odpisuje osobiście, i jeśli to możliwe, stara się załatwić sprawę, z którymi ludzie zwracają się do niego. Są to sprawy różne. Interweniował w spółdzielni mieszkaniowej, która nie chciała wypłacić lokatorce odszkodowania za zniszczoną podczas remontu podłogę i u ministra przekształceń własnościowych dzięki czemu udało się uratować upadający zakład przetwórstwa rybnego w Giżycku. Pomógł chłopakowi, któremu na kilka miesięcy przed maturą groził areszt za pobicie kolegi, żeby mógł odpowiadać przed sądem będąc na wolności, interweniował w sprawie karettek pogotowia dla Augustowa i w sprawie sprzętu pływającego dla Państwowej Straży Pożarnej w Giżycku, wielokrotnie interweniował w różnych sprawach policjantów.

Tak jak w poprzedniej kadencji jest wiceprzewodniczącym Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych oraz członkiem Komisji Transportu. Po doświadczeniach „afery teczkowej” był inicjatorem powołania Sejmowej Komisji ds.



dokończenie na str. 28





*Policja konna w centrum Nowego Jorku. Policjanci na wierzchowcach patrolują Manhattan i pobliski Central Park.*

*Oddziały policji konnej występują w większości krajów świata, szczególnie renomę zdobyły formacje Kanady i Wielkiej Brytanii. Z kozackiej policji konnej słynęła przedrewolucyjna Rosja. Jednym z nielicznych wyjątków na gruncie europejskim jest Francja. Paradoksalne, kraj z głębokimi tradycjami konnymi nie ma tego rodzaju oddziału.*

w zależności od potrzeb danej okolicy lub hrabstwa. Na przykład, w Newcastle jest zaledwie 9 koni policyjnych, natomiast w Manchesterze aż 48. Przeważa zdecydowanie stolica Zjednoczonego Królestwa zatrudniająca 100 czworonóżnych funkcjonariuszy.

nej selekcji. Czworonóg przeznaczony do pracy w obronie prawa i porządku powinien być dużych rozmiarów i ciężki, od 650 do 700 kg, mieć spokojny i zrównoważony temperament. Preferowane są rasy miejscowe, lecz konie w tej służbie powinny mieć do-



Wprawdzie państwo nad Loarą posługiwało się zorganizowanymi grupami policjantów w siodłach, lecz rozwiązało je w latach trzydziestych. Powód? W czasie rozbijania zamieszek i manifestacji konie zbyt często stawały się ofiarami zręcznych francuskich nożowników, którzy z chirurgiczną wręcz precyzją podcinały im ścięgna. Tego typu precedens nie wystąpił w żadnym innym kraju.

Wzorem dobrze zorganizowanej i skutecznej w działaniu policji konnej jest policja angielska. Dzienny czas służby konia na Wyspach Brytyjskich wynosi 3 godziny, może jednak zostać przedłużony w sytuacjach nadzwyczajnych. Czas ten jest przybliżony również w innych państwach, np. w Republice Federalnej Niemiec wynosi cztery godziny. Wyjątkiem jest Kanada, w której czworonożni funkcjonariusze Królewskiej Policji Konnej muszą pracować aż 9 godzin. Krótszy czas służby byłby jednak mało realny ze względu na obszerne przestrzenie, na których odbywa się służba patrolowa. Liczba koni pracujących w policji brytyjskiej jest różna

# FORMACJE KONNE W ŚWIECIE

Angielscy policjanci konni wyposażeni są w pałki, długie jak miecze, a konie mają światła odbłaskowe. W Szwecji tego rodzaju światła mają również jeźdźcy. Jest to niezbędne zwłaszcza w nocy, jako że w Europie Zachodniej (w przeciwieństwie do Wschodniej) patrole parków lub bulwarów są nie tylko na porządku dziennym, lecz i nocnym. Koń, podobnie jak kot, widzi w nocy lepiej niż w dzień i potrafi wypatrzeć obiekt, którego nie dostrzega jeździec.

50 koni, wyodrębnionych z policji, składa się na tzw. gwardię królewską w Holandii, przeznaczoną do celów reprezentacyjnych i uzupełniającą, a niekiedy zastępującą funkcjonariuszy na motorach.

Konni kandydaci do służby w policji poddawani są staran-

nięską krwi angielskiej. Podobno krew angielska dobrze wpływa na temperament zwierzęcia hamując jego spontaniczność i impulsywność. Mieszanie najlepiej sprawdzają się w tej służbie, gdyż konie pełnokrwiste są nazbyt niezależne i buntownicze, w sumie — trudno poddające się tresurze.

Nie we wszystkich krajach stosowane są krzyżówki z rasą angielską. Niemcy, na przykład, używają koni tzw. hanowerów. Podobnie postępują Węgrzy, którzy w rozbudowanym znacznie stopniu rozwinęli u siebie hodowlę selektywną. Krzyżówek dokonują wyłącznie pomiędzy własnymi rasami koni, takimi jak furioso lub gidrany. Węgierskie MSW dysponuje rozległymi, wykupionymi lub wydzierżawionymi terenami, na których konie są hodowane i poddawane tresurze, a na słynnych węgierskich stepach, czyli pusztach, galopują konni policjanci, ćwicząc swoje umiejętności przed akcją lub patrolem.

Rosjanie, w czasach państwa radzieckiego, utrzymywali w Moskwie imponujący, pod względem ubioru i prezencji, pułk konny złożony z 1200 wierzchowców. Obecnie zaobserwowano tendencję władz rosyjskich do powrotu do starych tradycji kozackich.

**PIOTR KITRASIEWICZ**  
*repr. K. Potocki*





WŁOCHY

# POLICJA A KODEKS CYWILNY

**Po raz pierwszy w historii włoskiego sądownictwa policja miała bezpośredni wpływ na wprowadzenie kilku drobnych zmian w kodeksie cywilnym. Wydarzenie zgola bezprecedensowe, a problem z pewnością niecodzienny. Chodzi mianowicie o**

**kwestię adopcji dzieci półsierot bądź tych z rozbitych rodzin przez kolejnych małżonków jednego z rodziców. Do tej pory sprawami tej grupy dzieci nie zajmował się zupełnie nikt, podczas gdy państwo całą swą uwagę skupia na zapewnieniu odpowiedzialnej adopcji wychowancom domów dziecka, Kościół zaś szczególnymi względami obdarza osoby samodzielnie wychowujące swe potomstwo.**

Tymczasem, jak wyraźnie wynika z policyjnych kronik, jedną z grup dzieci i młodzieży najbardziej narażoną na „sprowadzenie na złą drogę”, napastowanie seksualne i inne przestępstwa są właśnie owe zaniedbywane półsieroty, których owdowiałe bądź rozwiedzione matki (znacznie rzadziej ojcowie) ponownie zawierają związek małżeński. Pomimo tu psychologiczne aspekty wpływu tak wielkiej zmiany na życie dziecka, by skupić się bardziej na tych kryminalnych. Jednym z nich jest bunt przeciwko wejściu obcego człowieka do rodziny i — wśród starszych — kategorię

sprzeciwianie się nakazom i zakazom dyktowanym im przez ojczyma bądź macochę. Często konflikty takie kończą się ucieczką z domu, wejściem do przestępczego świata, dalej, braniem udziału w kradzieżach, napadach, handlu narkotykami itp.

Innym, znacznie ważniejszym aspektem jest bezpośredni stosunek „nowego” rodzica do wychowania. Jak twierdzą badający zjawisko policjanci, prawnicy i psychologowie, dziecko miało dużo szczęścia, jeśli trafiło na właściwego człowieka. Sąd niewiele uwagi poświęca bowiem sprawom o adopcję, kiedy jedno z rodziców żyje, a o prawo opieki nad jego dzieckiem stara się świeżo poślubiony współmałżonek. A przecież wystarczyłoby zerknąć do policyjnej kartoteki i upewnić się, czy nie figuruje tam przypadkiem nazwisko kandydata na ojca. Często później okazuje się, że nowy opiekun był już notowany, a prawda wychodzi na jaw zbyt późno, przy okazji kolejnego przestępstwa, w wyniku którego najczęściej uciertało przede wszystkim dziecko. Dotyczy to głównie kwestii napastowania seksualnego, ale także bicia, maltretowania (tak fizycznego jak i psychicznego), wciągania w alkoholizm, narkotyki, „brudne interesy”. Zajmujący się tą sprawą

podkreślają, że chodzi tu przede wszystkim o mężczyzn-opiekunów. Dzieci często załą się matkom, lecz te, przeświadczone o zwykłej niechęci ich podcech do ojczymów, nie traktują ich skarg poważnie. Sprawa musi dopiero trafić do komisariatu, żeby wielu osobom otworzyły się oczy. Tak czy inaczej większość społeczeństwa uważa tę grupę nieletnich za uprzywilejowaną, w odniesieniu np. do sierot z domów dziecka.

Oczywiście, mają całkowitą rację, z drobnym tylko wyjątkiem. Otóż nikt chyba nie przechodzi przy żadnej okazji tak gruntownej kontroli, i to pod każdym względem, jak małżeństwa ubiegające się o adopcję dziecka. Pojedynczej osoby, która zawarła związek małżeński z wdową bądź wdowcem posiadającymi dzieci nie sprawdza nikt. Zwykło się uznawać, że naturalny rodzic sam zatroszczy się o dobro dziecka. Niestety, gabinety lekarskie, poradnie psychologiczne, a co gorsza, policyjne kartoteki często temu przeczą.

Na szczęście, stróżę porządku postanowili wziąć sprawę w swoje ręce. Na ich wniosek projekt nowelizacji odpowiedniej części kodeksu cywilnego trafił już do parlamentu i będzie rozpatrzony w najbliższym czasie.

MONIKA SOKALSKA

MOŁDOWA

**Moldawska ustawa „O Policji” pozwala tej formacji na korzystanie z tajnych, osobowych źródeł informacji. Moldawska policja kryminalna, a także jej służby ds. przestępczości zorganizowanej mają więc sieć informatorów, z których część pracuje bezpośrednio w środowiskach przestępczych lub też w miejscach czasowego pobytu podejrzanych.**

**Spośród 129 wykrytych przestępstw popełnionych przez członków tzw. zorganizowanej przestępczości, 56 proc. to zasługa pracy operacyjnej.**

Dla przykładu, jedna z grup przestępczych, składająca się z 16 osób, wyspecjalizowała się w napadach rabunkowych na mieszkania i autokary turystyczne. Przestępcy dysponowali 2 automatami i pistoletem. Popelnili 10 przestępstw. W wyniku penetracji operacyjnej wewnątrz grupy została ona zlikwidowana.

W kwietniu 1994 r. dzięki informacjom agenturalnym ujawniono dobrze zorganizowaną grupę przestępczą, która w ciągu 2 lat działała pod przykrywką akcyjnej spółki meblarskiej. 7 organizatorów grupy zostało aresztowanych, w 6 prowadzonych w związku z ich firmą sprawach kryminalnych przewija się 23 podejrzanych.

Warto przy tym zauważyć, że w Republice Mołdowy, podobnie jak i w Polsce, nie przyjęto dotychczas prawnej definicji pojęcia zorganizowanej przestępczości. Dlatego też

Zarząd do Walki z Przestępczością Zorganizowaną tamtejszego MSW posługuje się określeniami przyjętymi na forum ONZ.

Mimo krótkiego okresu istnienia tej wyspecjalizowanej służby (powstała w początkach 1993 r.), funkcjonariusze mołdawskiego Zarządu do Walki z Przestępczością Zorganizowaną rozpracowali 95 grup przestępczych, w kartotekach kryminalnych i w pamięć komputerów wpisali około tysiąca tzw. przestępczych autorytetów, rozpracowali struktury wszystkich ujawnionych dotychczas grup przestępczych.

Do czerwca 1994 r. (data III Międzynarodowej Konferencji Policji (militarij) Kryminalnych w Legionowie) policja mołdawska rozbiła 57 zorganizowanych grup przestępczych i aresztowała na sankcje prokuratorów 205 ich członków. Za-

wisko przejścia części lub całych przedsiębiorstw za długi biznesmenów wciągniętych w działalność sprzeczną z prawem lub w gry hazardowe. Metodą trzecią jest szantaż, którego jedna z form nazywana jest powszechnie po rosyjsku (z jęz. angielskiego) rekiem (pobieranie haraczu w zamian za prawdziwą lub rzekomą ochronę interesów firmy).

Powstająca w Mołdowie na bazie zorganizowanej przestępczości mafia korumpuje urzędników państwowych, w tym także funkcjonariuszy policji oraz wymiaru sprawiedliwości. Dzięki temu uzyskuje niezbędne informacje w zakresie prywatyzacji sektora państwowego.

Między grupami zorganizowanej przestępczości trwa walka o przywództwo i sfery wpływów. Wykorzystuje się w tym celu własnych lub wynajętych przestępców kryminalnych.

Charakterystyczną cechą przestępczości zorganizowanej w Mołdowie jest umacnianie materialnej bazy środowisk przestępczych. W tym celu przestępcze „autorytety” (po rosyjsku takich bossów określa się jako superzłodziei — „wor w zakonie”) organizują wspólny fundusz środków zdobytych nielegalną drogą, na który wpływają składki również od szeregowych „zofnierz” przestępczego półświatka.

# ZACZĄTKI MAFII

trzymanym odebrano m.in. 25 karabinków Kałasznikowa, 3 skrzynki amunicji, 12 granatów, 23 pistolety i 2 granatniki.

Podobnie jak w wielu innych krajach, zorganizowana przestępczość w Republice Mołdowy przenika do tych gałęzi biznesu, gdzie najłatwiej prac brudne pieniądze, a więc do banków, kas oszczędnościowych, prywatnych spółek akcyjnych itp.

Przestępcza kontrola nad legalnym biznesem polega na inwestowaniu w prywatny lub państwowy sektor gospodarki nielegalnie uzyskanych kapitałów. Obserwowane jest także za-



kontraktów gospodarczych, a także ochronę przed odpowiedzialnością karną.

W Mołdowie, podobnie jak w innych państwach powstałych w wyniku rozpadu ZSRR, szczególnie dotkliwie są kradzieże, przerzut i handel kradzionymi samochodami. Kraj ten stał się również miejscem, z którego wywozi się tzw. żywy towar do domów publicznych na Zachodzie, a także w Turcji, Egipcie i Syrii.

Przestępczość o charakterze mafijnym (upraszczając chodzi o zorganizowaną przestępczość przenikającą do aparatu państwowego i wywierającą wpływ na jego poczynania) w Republice Mołdowy powstała niedawno i na razie ogranicza się do kilku niewielkich grup zorganizowanej przestępczości. Jest to jednak alarmujący sygnał dla organów policji.

MARCEL TABOR





Z arch. Filmoteki Polskiej — kadr z filmu „Prywatne śledztwo”

# OŚMIORNICA PO POLSKU

Rozmowa  
z **WOJCIECHEM  
WÓJCIKIEM**,  
reżyserem  
filmowym

— *Oglądaliśmy przed laty na ekranach telewizorów cieszące się znaczną popularnością seriale milicyjne, np. „Przygody psa Cywila” lub „O7, zgłoś się”. Milicji już nie ma, jest Policja. Czy to prawda, że kilkogodzinny film telewizyjny, do którego niedawno ukończył pan zdjęcia, jest pierwszym polskim serialem policyjnym?*

— Zmieniło się nazewnictwo, a nazwa nie ma chyba większego znaczenia. Prewencja jest prewencją, stróża prawa zawsze są tacy sami. Milicjanci podlegali presjom charakterystycznym dla tamtego okresu, policjanci są pod wpływem aktualnych. Formalnie rzecz ujmując, istotnie jest to pierwszy polski serial policyjny.

— *O czym jest ten film?*

— Przede wszystkim o człowieku. O człowieku, który został policjantem, bo tak się akurat złożyło. Nie jest to film o policjancie-psychopacie, jak to często pokazuje się w różnych filmach, lecz o człowieku będącym policjantem.

— *Bohater nie jest bynajmniej malowanym funkcjonariuszem, ale bardzo aktywnym stróżem prawa. Z czym walczy?*

— Jest specjalistą od narkotyków. PRL-owski milicjant walczył z domorosłymi producentami kompotu, był to problem peryferyjny. W momencie, gdy popadliśmy w miły stan nazywany „gospodarką rynkową”, narkotyki rozprzestrzeniły się w sposób zatrważający, stały się przemyśłem. Ilość wytworzonych u nas, a zwłaszcza sprowadzanych z zagranicy, narkotyków stała się zarzewiem wielkiej patologii społecznej. Obecna patologia osiąga coraz bardziej niebotyczne rozmiary. Ta poprzednia, socjalistyczna, była znacznie mniejsza, mogła być tłumiona i kontrolowana przy użyciu milicyjnych metod.

— *Czy bohater-policjant jest jak samotny rycerz i obrońca sprawiedliwości występujący samotnie przeciwko złu?*

— Nie, on działa w grupie. Reprezentuje lepiej lub gorzej wyposażoną organizację, czyli Policję. Ma przeciwko sobie potężne siły przestępczego świata i widza nurtuje przez cały czas pytanie: kto zwycięży? Ponieważ happy end nie jest wcale oczywisty. Nie przyświecały mi podczas pracy nad tym filmem przestarały już nieco etos i niezyciowa

prawda, że sprawiedliwość zwycięża zawsze. Akcja filmu rozgrywa się tutaj i teraz, w naszej postkomunistycznej codzienności. Dotykamy w nim, ja oraz współscenarzysta Witold Horwath, niektórych problemów i spraw będących poważną bolączką w Polsce Anno Domini 1994—95. Nie kreujemy innej rzeczywistości chociaż, rzecz jasna, nie rezygnujemy z kreatywnej formy będącej podstawowym prawem filmu fabularnego.

— *W jakim stopniu serial ten nawiązuje do głośnych u nas wydarzeń, znanych z pierwszych stron gazet, jak sprawa Bogatina czy harace na warszawskiej Stawówce?*

— W dużym. Nawiązujemy nie tylko do Bogatina i wymuszania haraczów, ale także do pewnego ambasadora schwytanego z torbą pełną heroiny. Posiłkujemy się tymi wydarzeniami, dyskretnie je komentując.

— *Po co komentarz? Nie wystarczyłby sam obraz wydarzenia?*

— Kiedy ma pan określoną recepcję rzeczywistości, to przecież musi pan się do niej jakoś ustosunkować. Nie jesteśmy dosadni, nie wydajemy diagnoz.

Przede wszystkim pokazujemy pewien stan.

— *Czy wydzźwięk filmu jest pesymistyczny?*

— Ależ nie. Bohater osiąga lokalny sukces. Film ma jednak epitafium. Po wyświetleniu ostatniego kadru pojawia się napis informujący, iż bohater, gra go Marek Kondrat, został w dwa tygodnie później ciężko ranny w wyniku zamachu na jego życie, a heroina wartości 2,5 biliona starzych złotych w tajemniczy sposób zniknęła z magazynów policyjnych.

— *Serial nosi tytuł „Ekstradycja”. Czy jest on ostateczny?*

— W tej chwili wszystko wskazuje na to, że tak. Tytuł ten wyraża zresztą inny problem. Jest nim chęć przymilenia się wielkiemu, silnemu partnerowi, bez oglądania się na własną godność narodową. Okazuje się, że ciągle zwycięża w nas partykularizm i konformizm. Mieliśmy już Wielkiego Brata za ręką, teraz mamy za wielką wodą. A żyjemy przecież w środku Europy. Jesteśmy w gruncie rzeczy małym krajem — aczkolwiek fantastycznym narodem — i powinniśmy rządzić się swoimi własnymi, demokratycznymi pra-



# STAN PODWYŻSZONEJ UŁOMNOŚCI

Święta. Spotkania rodzinne, czas relaksu, bezwstydne lenistwo, zamiast telewizora może wreszcie nadrobienie zaległych lektur, do prasy też warto zajrzeć, tyle tam teraz sensacji, skandali i afer, że głowa boli. A już o policji — co się otworzy jakąś gazetę — niemal na każdej stronie „niusy” bijące po oczach pikantnymi nagłówkami.

To już jakby codzienność, norma, powszechny obyczaj i rutynowa powinność prasy, że w ostatnim czasie tyle miejsca poświęca policji. Tylko że przeważnie pisze się o niej negatywnie. Oskarża o wszelkie zło, co na nas czyha. Obwinia o prawdziwe i nieprawdziwe przewinienia. Pomawia o Bóg wie co, kpiąc już nieraz do „mizerii” policyjnego stanu posiadania, braku ducha bojowego, odwagi i determinacji w ściganiu przestępczości, słabych osiągnięciach w wykrywalności przestępstw, a także — co ze szczególną zjadliwością się podkreśla — powiązaniach policji z szarą strefą.

Już kiedyś autor tych słów zwracał uwagę na wątpliwe efekty brania wody w usta i stosowania strusiej metody chowania głowy w piasek w obszarze polityki informacyjnej resortu spraw wewnętrznych. I to generalnie, w odniesieniu do wszystkich pionów, służb i jednostek tego resortu.

Jeśli wojsko ma w opinii społeczeństwa wizerunek w miarę czytelny, w przeciwieństwie do struktur MSW, to m.in. dlatego, że potrafi się znakomicie znaleźć i pokazać w mediach, czego właśnie służby podległe MSW nie potrafią. Objaśnienia dotyczące popełnianych obecnie przestępstw, wygłaszane przed kamerami suchym, z natury rzeczy technicznym, językiem, czy nieco infantylnie, mało przekonujące tłumaczenia, że się nie jest wielbłądem — to jakby trochę przymało jako element taktyki kontrowania barwnych i plastycznych opisów policyjnej niemocy, wpisanych w strategię medialną udupiania policji.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy poza kilkoma publikacjami w miarę łaskawymi dla organów ścigania — i to pomijającymi raczej skuteczność jej działań, a litującymi się nad policyjnym obrazem budy z nędzą, czego już wszyscy mają dosyć — ukazał się właściwie jeden tytuł (słownie jeden!) tekst, traktujący temat rzeczowo, wnikliwie i całościowo, choć lapidarnie i krótko, jako że ujęty w formie felietonowej. Mianowicie, „Komentarz — Respekt dla Policji”, pióra Anny Marszałek, na łamach „Rzeczpospolitej” (nr 50, 28.02.1995 r.).

Autor felietonów „Na żywo”, dawał już do zrozumienia komu trzeba, że jest coś niestosownego i wysoce nieprawidłowego w sytuacji, kiedy za każdym razem, gdy o Policji mowa — już to o nagannym jej traktowaniu przez władzę, już to o potwierdzonych, karygodnych wykroczeniach z jej strony — do tablicy zgłasza się, nieodmiennie, pan poseł Jerzy Dziewulski. Gdy zaś chce się pokazać, jak to Policja jest bezsilna w swoich potyczkach z decydentami, przedstawia się w obrazku telewizyjnym pana ministra Andrzeja Milczanowskiego, poiryтовanego cynicznym spokojem wypisanym na gipsowym obliczu pana wicepremiera i ministra finansów Grzegorza Kołodki.

Czy rzeczywiście nie ma nikogo, kto mógłby zastąpić obu wyżej wymienionych panów w niewdzięcznej — ale także pasjonującej! — roli doskonale zorientowanego w temacie informatora, a zarazem błyskotliwego polemisty?

Jest niby prasa resortowa („Gazeta Policyjna”, „Magazyn Kryminalny 997”), która przynosi wszechstronne i obszerne informacje o wszystkim, co się tyczy problematyki policyjnej. Próbuje też czasem odpierać niesłuszne zarzuty i stara się bronić przed pomówieniami.

Ale tak prawdę mówiąc — jaki odsetek społeczeństwa, karmionego przez media, co traktują Policję, jak kiedyś satyrycy kelnerów (za komuny dyżurny obiekt do chłostania biczem satyry), czyta prasę policyjną?

Po pierwsze, mało kto wie, że jest coś takiego na rynku, bo ani słowa o tym w innych pismach i telewizji oraz radiowych przeglądach prasowych, a po wtóre, robi się wszystko, by wręcz zataić istnienie policyjnych tytułów prasowych, jak to z powodzeniem praktykują panie kioskarki, wkładając „GP” i „MK 997” pod stopy przyciągających wzrok kolorowych magazynów dla pań, panów, młodzieży i dzieci. W dodatku — co się wydaje szczególnie niezrozumiałe — w niewielu kioskach można nabyć rzeczono pisma. Przeważnie słyszy się: „Nie mam, nie dostaję czegoś takiego”.

Zadawniona niechęć do milicji, przeniesiona poślizgiem na Policję? Obawa przed posądzeniem, że się „trzymam” z Policją? Spowodowane właśnie ogólną aurą i klimacikiem niezdrowym wokół Policji, zawstydzenie, że w ogóle „coś takiego” ma się w kiosku? Diabli wiedzą.

Jedno jest w tym wszystkim pewne: albo się zadba w końcu o generalne oczyszczenie pola informacji i wprowadzenie zdrowych, racjonalnych mechanizmów przekazywania społeczeństwu rzetelnej wiedzy o Policji, albo dotychczasowe kalektwo w tej mierze przejdzie w groźny stan chroniczny o podwyższonym czynnikiem ułomności.

LECH TERPIŁOWSKI

wami, a nie zamieniać jednych na drugich. Film jest również o tym.

— **Czy pan trochę nie przesadza z tym „małym krajem”? Przed wojną byliśmy jednym z większych państw europejskich, a i teraz nie jesteśmy tacy znowu mali.**

— Owszem, pod względem geograficznym. Ale mnie chodzi o coś innego. Proszę porównać budżet policji holenderskiej lub belgijskiej z naszym. Jesteśmy pochodną biedy, Biedy, na którą sobie nie zastężyliśmy, tylko ktoś nam ją zafundował. Zaistnieliśmy na obszarze tego kontynentu jako naprawdę niepodległy kraj, z minimalnym budżetem w skali Europy.

— **W pana filmie występuje, działająca na terenie Polski, potężna mafia rosyjska. Czy nie grozi nam doswiadczenie na własnej skórze historii Włoch, państwa od dawna walczącego bez większego skutku z Cosa Nostrą i innymi tego typu organizacjami?**

— Mafia rosyjska tak silnie wrasta w naszą rzeczywistość, że istotnie może grozić nam powtórka z dziejów Włoch. W jednej ze scen „Ekstradycji” pewien mężczyzna mówi: „Oni zmienili tylko flagę. Zamiast internacjonalizmu — prywatny biznes, szmal i śmierć frajerom”. Zgadza się z tym. Mam jednak nadzieję, że wariant włoski u nas nie wystąpi. Ale musimy się wszystkich sił przeciwstawić się takiej ewentualności.

— **Wynika z tego, że teraz jest gorzej niż w PRL?**

— O nie, jest lepiej. Można pewne rzeczy nazwać wreszcie po imieniu, można wyartykułować swój ból. Można wreszcie zrobić taki film. A co do minusów... Wspaniała rzecz jaką jest wolność miesza się z czymś niskim i podłym. W przyrodzie tak już jest — coś za coś.

— **Jak długo kręcił pan zdjęcia do „Ekstradycji”?**

— Mieliśmy tylko 74 dni zdjęciowe. W tym czasie zrobiliśmy 6 godzinnych odcinków. Jest to chyba rekord w historii telewizji, choć nie moja w tym zasługa. Po prostu z różnych przyczyn musieliśmy zmieścić się w tym terminie. Inaczej, być może, film ten nie mógłby powstać.

— **Kiedy zostanie wyemitowany?**

— Prawdopodobnie we wrześniu. W tej chwili trwają prace nad udźwiękowieniem.

— **Cofnijmy się na chwilę w przeszłość. W 1983 roku wszedł na ekrany kin pański film „Karate po polsku”, cieszący się dużą popularnością. Nakręcony został w konwencji westernu, ze schematycznym — no, może uproszczonym — podziałem na stronę dobrą i złą. Jak ocenia pan ten film dzisiaj?**

— Patrzę na niego nieco inaczej niż pan. Moim zamiarem było zrobienie filmu o konflikcie między ludźmi, którzy wyrastali w przeciwstawnych środowiskach. Ja sam wychowywałem się w małym miasteczku i zawsze będę zakompleksiony względem mieszkańca z dużego miasta. Na-

uczyciel z prowincji będzie miał podobny kompleks w stosunku do swojego kolegi z dużej aglomeracji. Film miał mówić o konflikcie między prowincją a pseudowielkim światem. Ale przecież, w gruncie rzeczy, oba te światy są sztuczne. Ludzie są w końcu ludźmi i nie ma znaczenia, kto skąd pochodzi i kim jest w sensie zawodowym. Istotne jest tylko to, co każdy z nas wysłał z mlekiem matki. Cała reszta jest rzeczą wtórną.

— **Kto pańskim zdaniem robi najlepsze filmy sensacyjne w Polsce? Władysław Pasikowski, autor „Psów”?**

— O kolegach mówi się dobrze albo wcale.

— **Wkrótce po „Karate po polsku” wszedł na ekrany mroczny, dosłownie i w przenośni, dramat „Okno”, według scenariusza Ireneusza Iredyńskiego. Film ten był pańskim faktycznym debiutem, wyświetlony został jednak z opóźnieniem. Dlaczego?**

— „Okno” zrealizowałem w 1981 roku. Dramat ten był w opozycji w stosunku do tych filmów, które wówczas robiono w kraju. Byłem chyba pierwszym reżyserem, któremu udało się wydobyc intencje Iredyńskiego i przedstawić je w zgodzie z jego filozofią.

— **Zrobił pan później kilka filmów sensacyjnych m.in. „Prywatne śledztwo” i „Trójkąt Bermudzki”. Były wyświetlane w kinach, pokazała je także telewizja. „Okno”, po szybkim zejściu z kinowych ekranów mimo niemałej frekwencji, nie było zaprezentowane przez TVP. Dlaczego?**

— Chodziło o Iredyńskiego. Ówczesni decydenci nie chcieli, aby zobaczył on ten film. Kiedy kręciliśmy zdjęcia w Łodzi, Iredyński przebywał na Mazurach. Gdy film wszedł na ekrany, Ireneusz był już w złym stanie i przebywał w szpitalu. Później, już po jego śmierci, podejmowałem niepewne próby w telewizji, aby go pokazano, ale bez rezultatu.

— **Dlaczego próby te były niepowodne?**

— Były trochę nieśmiałe. Nie umiem dbać o własne interesy i to jest moja największa wada.

— **Nad czym będzie pan pracować po zakończeniu postprodukcji do „Ekstradycji”?**

— Nad telewizyjnym spektaklem kryminalnym. Będzie to adaptacja jednej z powieści Agaty Christie. Rolę kobiety-detektywa, panny Jane Marple, zagra Maja Komorowska. Obecnie, razem z Witoldem Horwathem, przygotowuję scenariusz.

— **I na zakończenie pytanie o inny charakter. Podobno nie lubi pan dziennikarzy, nie czytuje pan recenzji swoich filmów, nie udziela pan wywiadów. Dlaczego więc zdecydował się pan udzielić wywiadu reprezentowanemu przeze mnie czasopiśmiu?**

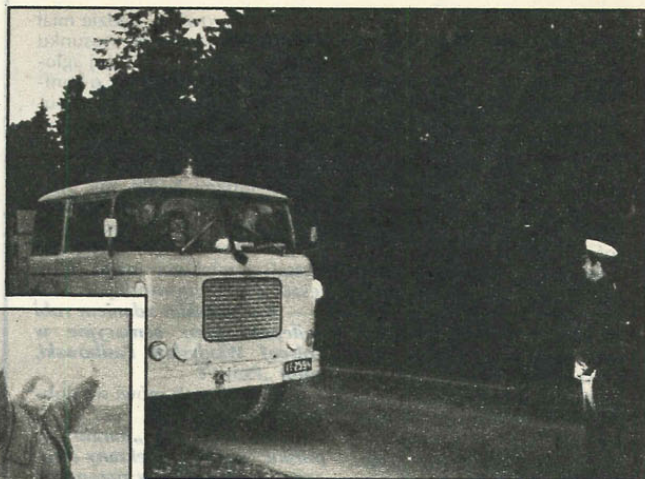
— Po prostu zrobiłem wyjątek. Odstąpiłem od reguły.

— **Dziękuję bardzo za ten wyjątek.**

PIOTR KITRASIEWICZ



**Dochodziła godzina 3 w nocy. Autokar marki Mercedes, należący do wrocławskiego „Orbisu”, wjechał na most na Warcie w Uniejowie (woj. konińskie). W fotelach drze- mało 22 pasażerów, w większości łodzian, udających się do Berlina, skąd mieli odlecieć do Pekinu.**



# PRZEBIERAŃCY

Na końcu mostu stał policyjny polonez z migającym „kogutem”. Radiowóz ustawiony był w poprzek drogi, tarasując przejazd. Przy samochodzie stało dwóch policjantów w białych czapkach, z „lizakami” w rękach. Kiedy mercedes się zatrzymał, z ciemności wyłoniło się jeszcze kilku zamaskowanych mężczyzn. Ci już nie mieli na sobie policyjnych mundurów, w rękach trzymali pistolety.

— Trzech bandytów wskoczyło do autokaru — zeznawał później jego kierowca. — Zagrozili, że będą strzelać w razie nieposłuszeństwa. Mnie kazali jechać za polonezem. Po przejechaniu kilku kilometrów skręciliśmy w las. Jeden z bandziorów polecił, żeby wszyscy wyjęli swoje pieniądze. Podchodzili po kolei do każdego, wiązali sznurkiem albo skuwali kajdankami. Przetrzęsali kieszenie, wyrwali portfele, torby. Nie zabierali bżuterii, tylko pieniądze.

Nie wiadomo dokładnie, jaka gotówka wpadła w ręce bandytów. Według szacunkowych obliczeń policji ich łup wyniósł co najmniej 3 mld zł. Cała akcja przeprowadzona była precyzyjnie. Gangsterzy musieli więc wiedzieć, że w tym właśnie autokarze pasażerowie przewożą znaczne sumy de-

wiz. Musieli też wiedzieć, że nie jest to zwykła wycieczka turystyczna, ale wyjazd po zakupy na Daleki Wschód. A w taką „delegację” rzadko kto wyjeżdża z kilkoma dolarami w kieszeni.

Dopiero po kilku godzinach kierowcy mercedesa udało się oswobodzić z więzów. Następnie uwolnili pasażerów. Nad ranem powiadomiono policję w Turku. Jednak po fałszywych policjantach i ich kumplach ślad już dawno zaginął.

## Rozbójnictwo na drogach

to nowy, a dokładniej mówiąc — odnowiony po latach proceder przestępczy, przypominający jako żywo napady na dyliżanse na Dzikim Zachodzie czy łupienie kupieckich karawan w minionych wiekach. Rozboje na drogach stały się w ostatnich latach w Polsce istną plagą. Jeszcze do roku 1990 zdarzały się sporadycznie i nie stanowiły większego problemu. W 1991 r. odnotowano ich zaledwie 15, za to rok później już 248. W minionym roku aż 656 razy atakowano kierowców na polskich drogach. W stosunku do roku 1993 nastąpił wzrost aż o 67 proc.

Atakowano w różny sposób. Najczęściej na leśnych parkingach lub

poboczach dróg. Ofiarami bandytów padali utrudzeni podróżni, drzemiący w samochodach kierowcy i ich pasażerowie. Nieco rzadszym, choć również wykorzystywanym sposobem rozboju na drodze, jest tarasowanie jezdni różnymi przeszkodami (np. zwalonymi konarami, gałęziami, kamieniami). Fingowanie wypadków drogowych, zatrzymywanie na tzw. okazje, to inne, dość często wykorzystywane przez rodzimych gangsterów drogowych metody działania.

Przybysze zza wschodniej granicy upodobałi sobie jeszcze inny sposób ataku. Niczym dawni korsarze wyspecjalizowani w abordażu, napadają na podróżnych w czasie jazdy. Dwoma lub trzema samochodami zajeżdżają drogę, blokując dalszą jazdę, terroryzując kierowców bronią. Niekiedy strzelają na postrach lub w samochód, jeśli kierowca nie respektuje ich poleceń. W ubiegłym roku sprawcy tzw. rosyjskojęzyczni dokonali 412 napadów na drogach, o około 80 proc. więcej niż w roku 1993. Na „szczęście” prawie wszystkie skierowali przeciwko swoim rodakom. Napady na Polaków należały do rzadkości.

W 129 przypadkach przestępcy z

byłego ZSRR posługiwali się bronią palną. W wyniku tych przestępstw zrabowali m.in. 322 samochody osobowe wartości około 26 mld starych złotych. Rosyjskojęzyczni bandyci napadli m.in. na 38 autokarów, przewożących zorganizowane grupy wycieczkowe z obywatelami WNP oraz na 14 samochodów ciężarowych TIR. Od poszkodowanych pobierano „opłatę za przejazd” trasą kontro-

lowaną przez grupę przestępczą. Dokonywano przy tym pospolitego rabunku przewożonych pieniędzy i towaru.

W wyniku bezpośrednich działań policyjnych, podjętych natychmiast po otrzymaniu informacji o przestępstwie, ujęto 375 sprawców, którym udowodniono udział w 116 napadach.

## Rozpoznać przebierańca

— Docierają do nas również informacje o napadach na drogach dokonywanych przez fałszywych policjantów, tzw. przebierańców — mówi kom. Stanisław Lenarczyk z Biura Ruchu Drogowego KGP, na bieżąco analizujący „rozbójnictwo drogowe”. — W sobie tylko wiadomy sposób przestępcy zdobywają policyjne mundury i różne akcesoria drogowki. Posługują się przy tym z reguły polonezami „ucharakteryzowanymi” na radiowoz policyjny drogowej. Jeśli nawet nie wszystkie detale w tym wyposażeniu odpowiadają resortowym regulaminom, to który z kierowców to zauważy? Poszkodowani, składający później zeznania, zgodnie stwierdzają, że nawet przez myśl im nie przeszło, że mieli do czynienia z „prebierańca-



mi". W ubiegłym roku odnotowaliśmy 7 takich napadów, w bieżącym 2. Nie są to, jak widać, zdarzenia nagminne, ale bardzo niepokojące, podrywają bowiem zaufanie społeczeństwa do Policji, godzą w jej dobre imię.

Dochodziła godz. 9 rano. Był czwartek, 23 lutego br. Na drodze nr 514, pomiędzy Kwidzynie a Grudziądzem, tuż przy granicy woj. elbląskiego i toruńskiego, obok przydrożnego parkingu stał policyjny radiowóz. Ciemnoniebieski polonez z białymi pasami i „kogutem” na dachu nie wzbudził podejrzeń Krzysztofa K., kierowcy ciężarowego kamaza z przyczepą, zmierzającego do Warszawy z ładunkiem 177 telewizorów marki Philips, wartosci prawie 2 mld starych złotych.

Przy polonezie stało dwóch policjantów w białych czapkach. Jeden z nich trzymał w ręku „lizakiem” dał kierowcy znak do zatrzymania. Krzysztof K. zjechał na pobocze. Rzekomi stróża prawa podeszli do ciężarówki. Grzecznie poprosili kierowcę, by zabrał dokumenty i przyszedł do radiowozu. Nie przeczuwający niczego Krzysztof K. zrobił, co mu polecił „pan władza”.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jeden z fałszywych policjantów wyciągnął pistolet, zagroził jego użyciem w razie jakiegokolwiek oporu. Drugi zatrzasnął na rękach Krzysztofa K. kajdanki. Kierowcy kamaza zabrano dokumenty wozu i przewożonego ładunku. Udało mu się jeszcze dostrzec, jak do jego samochodu wskoczyło czterech zamaskowanych mężczyzn. Ci już nie byli „przebierańcami”. Odjechali z cennym ładunkiem w nieznane.

Tymczasem dwaj rzekomi funkcjonariusze drogówki wjechali polonezem w głąb lasu. Krzysztofa K. przykuli kajdankami do drzewa, po czym siłą wleli mu do gardła prawie pół litra wódki. Nim odjechali, zdarli z samochodu policyjne oznakowanie.

Dopiero po kilku godzinach kierowcy kamaza udało się oswobodzić i chwiejnym krokiem dotrzeć do posterunku Policji. Niestety, po przestępcach i zrabowanym łupie ślad już zaginął.

### Nie daj się nabrać

Bandytą drogowym może okazać się każdy. I uśmiechnięty ksiądz, i pociągająca dziewczyna, chcąc się zabrać „okazją”, i nawet sympatyczny policjant drogówki. Jak więc odróżnić „przebierańca” od rzeczywistego policjanta, księdza czy autostopowicza? Niestety, nie jest to takie proste. Przestępcy, przygotowujący napad na drodze, planują go w najdrobniejszych szczegółach, nie zapominając o typowych dla danej profesji atrybutach, a potem perfekcyjnie go przeprowadzają. Zdają sobie bowiem sprawę, że najmniejsze nawet uchybienie w ich wyglądzie może zniweczyć całą akcję. Dlatego wybierając się w podróż, radzę zachować szczególną ostrożność. A zwłaszcza ograniczyć swoje samarytańskie skłon-

ności w sytuacjach tzw. okazji. Lepiej zignorować czyjąś wyciągniętą rękę niż później stać się ofiarą bezwzględnego bandziora.

Jak się jednak zachować, kiedy na drodze stoi policjant z „lizakiem”? Zignorować go nie możemy, z drugiej jednak strony boimy się o własną skórę. Więc?

Kierownictwo Komendy Głównej Policji, rozumiejąc rozterki zmotoryzowanych, a przede wszystkim dostrzegając aktywność gangsterów drogowych, dokonało pewnych zmian w dotychczasowych formach kontroli na drogach. **Zmiany te dotyczą — o czym należy pamiętać — tylko kontroli przeprowadzanych poza terenem zabudowanym. Od zmirzchu do świtu muszą być wykonywane wyłącznie przez patroli umundurowanych policjantów posługujących się oznakowanymi radiowozami.**

Inaczej mówiąc, jeśli w nocy na drodze, gdzieś w szczerym polu czy w lesie ktoś będzie dawał nam znaki do zatrzymania, obojętnie „lizakiem” czy latarką ze światłem czerwonym, nawet jeśli osoba ta występować będzie w mundurze policyjnym, a obok będzie stał „cywilny” samochód — możemy taką kontrolę zignorować i pojechać dalej. Jednak o fakcie tym powinniśmy zameldować w najbliższym posterunku Policji lub pierwszemu napotkanemu po drodze zmotoryzowanemu patrolowi, z dużą dozą prawdopodobieństwa bowiem możemy założyć, iż chciał nas zatrzymać fałszywy policjant. I to wcale nie w celach towarzyskich.

**Kontrolujących ruch drogowy policjantów zobligowano również do tego, by wieczorem i nocą stosując tzw. kontrolę statyczną, wybierali tylko miejsca i odcinki dróg o dobrej widoczności i to poza obszarami leśnymi. Ponadto w czasie takich kontroli służbowe radiowozy powinny być dobrze widoczne dla przejeżdżających kierowców oraz mieć włączony napis „Policja”.**

Informując o tych zmianach w dotychczasowych formach kontroli na drogach, warto jednak pamiętać, iż generalne zasady służby policji drogowej nie uległy zmianie. **Nadają obowiązują przepisy mówiące o tym, że funkcjonariusze umundurowani na obszarach zabudowanych mogą zatrzymywać kierujących do kontroli o każdej porze dnia i nocy tarczą („lizakiem”), ręką, a w warunkach niedostatecznej widoczności — latarką ze światłem czerwonym. Mogą też być bez radiowozu.**

**Policjanci nie umundurowani mogą zatrzymać kierowcę wyłącznie służbowym „lizakiem”, a w warunkach niedostatecznej widoczności — latarką ze światłem czerwonym. Są oni uprawnieni do kontroli pojazdów na obszarach zabudowanych przez całą dobę, a poza tymi obszarami tylko w ciągu dnia i wówczas, gdy posługują się pojazdem samochodowym. Przed przystąpieniem do kontroli są zobowiązani — bez zwracania im uwagi — do okazania legitymacji służbowej.**

Warto o tych zasadach pamiętać, nie tylko wybierając się w dłuższą podróż.

**JERZY PACIORKOWSKI**  
zdj. Krzysztof Potocki

# PROSTO Z D OGI

## TRUDNY POCZĄTEK

Bilans stycznia i lutego na polskich drogach nie napawa zbytym optymizmem. Policyjne statystyki odnotowały wzrost zarówno liczby wypadków, jak i ich skutków: w 7215 zdarzeniach drogowych obrażeń doznało 8849 osób. Na miejscu wypadku śmierć poniosły 683 osoby. W porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego liczba wypadków wzrosła o 10,2 proc., o 10,7 proc. wzrosła liczba rannych, ofiar śmiertelnych odnotowano więcej o 12,3 proc.

Wzrost liczby wypadków wystąpił w 36 województwach, największy w krośnieńskim (o 101,5 proc.), łomżyńskim (o 64,7 proc.) i wrocławskim (o 50,0 proc.). Najbezpieczniej było w woj. konińskim, chełmskim, gorzowskim i gdańskim, gdzie zanotowano poprawę stanu bezpieczeństwa na drogach od 13 do 27 proc.

Łagodna tegoroczna zima sprawiła, iż natężenie ruchu na drogach nie uległo okresowemu zmniejszeniu. Stąd i zagrożenie wypadkami utrzymało się na zwykłym, wysokim poziomie. Paradoksalne, ale im trudniejsze warunki na drogach, tym wypadków mniej. Ciekawe, czy za sprawą rozsądku czy instynktu samozachowawczego kierowców?

## NAUKA „NA GAZIE”

Policjanci drogówki z woj. szczecińskiego zatrzymali prawo jazdy... instruktorowi nauki jazdy za prowadzenie samochodu z tablicą „L” w stanie nietrzeźwym. Pan „profesor” miał we krwi „tylko” 1,83 prom. alkoholu. Na szczęście jego kursanci wykazali znacznie więcej rozsądku i nie kwapili się do jazdy z bełkocącym mistrzem kierownicy.

Policjanci skontrolowali również stan techniczny 21 samochodów służących do nauki jazdy. W piętnastu stwierdzono różnego rodzaju drobne usterki, w jednym — ze względu na jego stan — konieczne było zatrzymanie dowodu rejestracyjnego.

## GOŚCIE NA DROGACH

W roku 1994 cudzoziemscy kierowcy spowodowali na naszych drogach ponad 1300 wypadków. Zginęło w nich blisko 350 osób, a około 2 tys. zostało rannych. Wśród zagranicznych „piratów drogowych” rej wiodą zmotoryzowani obywatele WNP, a następnie Niemcy i Holendrzy. Przybysze ze Wschodu nagminnie łamią zasady pierwszeństwa przejazdu, ignorują znak „stop”, a stan techniczny ich samochodów pozostawia wiele do życzenia. Kierowcy z Zachodniej Europy natomiast nie respektują ograniczeń prędkości na naszych drogach. Przyzwyczajeni do swoich autostrad „gubią się” na polskich niebezpiecznych traktach.

## „KRÓTKOTRWALE UŻYCIE”

Wydaje się, że nadchodzi wreszcie kres osławionego zwrotu prawniczego: „krótkotrwałe użycie pojazdu mechanicznego” (art. 214 k.k.), z którym identyfikował się każdy złodziej samochodów. Przyłapany na gorącym uczynku przestępstwa, tłumaczył beczelnie prokuratorowi, że chciał się tylko tym samochodem przejechać, w żadnym wypadku go ukraść. Wobec takiego oświadczenia nie było podstaw do oskarżenia go o kradzież i złodziej wykpiwał się od odpowiedzialności.

Na szczęście w projekcie znowelizowanego kodeksu karnego, który wpłynął do Sejmu, nie ma już miejsca na ten nonsensowny paragraf. Jest więc nadzieja na skuteczniejszą walkę z motoryzacyjnymi gangami, które rozprzestrzeniły się w całym kraju.

## W SINĄ DAL

W ubiegłym roku z ulic, parkingów i garaży Rzeczypospolitej zniknęło przeszło 44 tys. samochodów. Do swych właścicieli wróciło ok. 19 tys. Jak wynika z policyjnych statystyk, największą popularnością wśród złodziei cieszyły się — podobnie jak rok wcześniej — produkty rodzimej motoryzacji — maluchy i polonezy. Z samochodów zachodnich najczęściej kradziono volkswageny, mercedesy, BMW, audi; z byłych KDL-ów: łady i skody.

Najwięcej aut uprowadzono mieszkańcom woj. stołecznego (15 172), gdańskiego (4349), łódzkiego (3450) i wrocławskiego (1083).

Samochody giną nie tylko u nas. Nie ma chyba kraju na świecie, który nie byłby dotknięty tym procederem. Dla przykładu, w Norwegii i Francji ginie najwięcej aut w stosunku do liczby zarejestrowanych pojazdów. Na 1000 samochodów znika tam rokrocznie po 12 aut. We Włoszech — 9, w Holandii — 7, Belgii — 5. W Niemczech giną „tylko” 4 samochody na 1000 zarejestrowanych.

W ubiegłym roku na liście najbardziej „złodzijskich krajów” czołowe miejsce zajęła Brazylia. Właściciele zmienili tam aż 130 tys. samochodów. Każdego dnia ginie w tym kraju ok. 400 pojazdów, średnio jedno auto co cztery minuty. Ciekawe, czy nasze maluchy i polonezy cieszyłyby się tam również takim wzięciem jak u nas?

**JERZY PACIORKOWSKI**



Wiktuały stawiane na stołach możnych tego świata zawsze budziły wiele nie skrywanych emocji zwykłych zjadaczy chleba naszego powszedniego. Skład menu rządowych rautów, przyjęć dyplomatycznych czy też obiadów wydawanych na cześć, z pewnością pobudza podniebienie niejednego smakosza. Jeśli interesuje Państwa, w jaki sposób jest ono przygotowywane, co je prezydent bądź premier, zapraszam za drzwi kuchni, gdzie właśnie...

### TAJNE MENU

Jeszcze nie tak dawno co i w jakich ilościach trafiało na stół VIP-ów PRL było dokładnie cenzurowane. Co prawda, sposób przyrządzania filetów, flaków bądź zwykłych kielbas nie stanowił tajemnicy państwowej. Niemniej niezręczne (delikatnie mówiąc) byłoby w tamtych czasach pisanie o urokach rządowego stołu, gdy na sklepowych półkach gościł zaledwie ocet.

Produkty, które trafiały do pierwszego sekretarza PZPR, premiera, marszałka Sejmu

oraz ministrów przygotowywano w Gospodarstwie Pomocniczym nadzorowanym przez Biuro Ochrony Rządu. Tak było do początku br. Obecnie zajmuje się tym URM, który obsługuje wszystkich VIP-ów z wyłączeniem osoby prezydenta RP.

Przez lata, nie tylko po Warszawie, krążyły legendy o tym, co i jak się jada na „pańskim” stole.



# RZĄDOWA CZYLI KUCHNIA

### Obiady Czwartkowe

Znamy tylko niektóre z potraw podawanych na stół Stanisława Augusta podczas owych sławetnych posiłków. Wówczas to serwowano: barszcz z uszkami, różnorodne, na przystawkę podawane wędliny, paszteciki i pikantne marynaty, różne pieczenie z ulubioną przez króla pieczenią baranią, którą usługujący do stołu dworzanie obnosili na wielkim srebrnym półmisku wołając: — baran!

— Wszystko to były wiadomości przesadzane — mówi jeden z pracowników gospodarstwa. — Nie posiadaliśmy, jak głosiła plotka, własnych gospodarstw rolnych, na których pasłyby się rządowe stada, których mięso przeznaczone było wyłącznie dla elit władzy.

Tak wówczas, jak i dziś, żywność jest kupowana na ogólnie dostępnym rynku — m.in. od lat zaopatrywano się w Zakładach Mięsnych na warszawskim Żeraniu. Gospodarstwo miało tylko własną masarnię, piekarnię i ciastkarnię.

— O zaletach waszych wyrobów wędliniarskich krążyły smakowite plotki. Ile w nich było przesady?

— Jeżeli chodzi o walory smakowe przesady nie było żadnej. Tajemnica jakości leżała tylko w

dokładnym trzymaniu się powszechnie znanych receptur.

— Dlaczego zatem nie zaopatrywaliście się wprost w zakładach mięsnych, gdzie np. wyroby wędliniarskie produkowane były i są według polskiej normy?

— Ponieważ nie byliśmy przekonani, że narzucany przez owe normy reżim składnikowy i technologiczny był i jest ściśle przestrzegany.

Nie należy się zatem dziwić, że ministrowie poczynając od gabinetu Cyrankiewicza poprzez Jaroszewicza, Rakowskiego, Mazowieckiego, Bieleckiego, Suchockiej czy Pawlaka zajadali się wyśmienitymi salcesonami, kaszankami i nadzwyczajną zwyczajną. W sumie było czym, gdyż w gospodarstwie BOR produkowano ok. 50 gatunków wędlin.

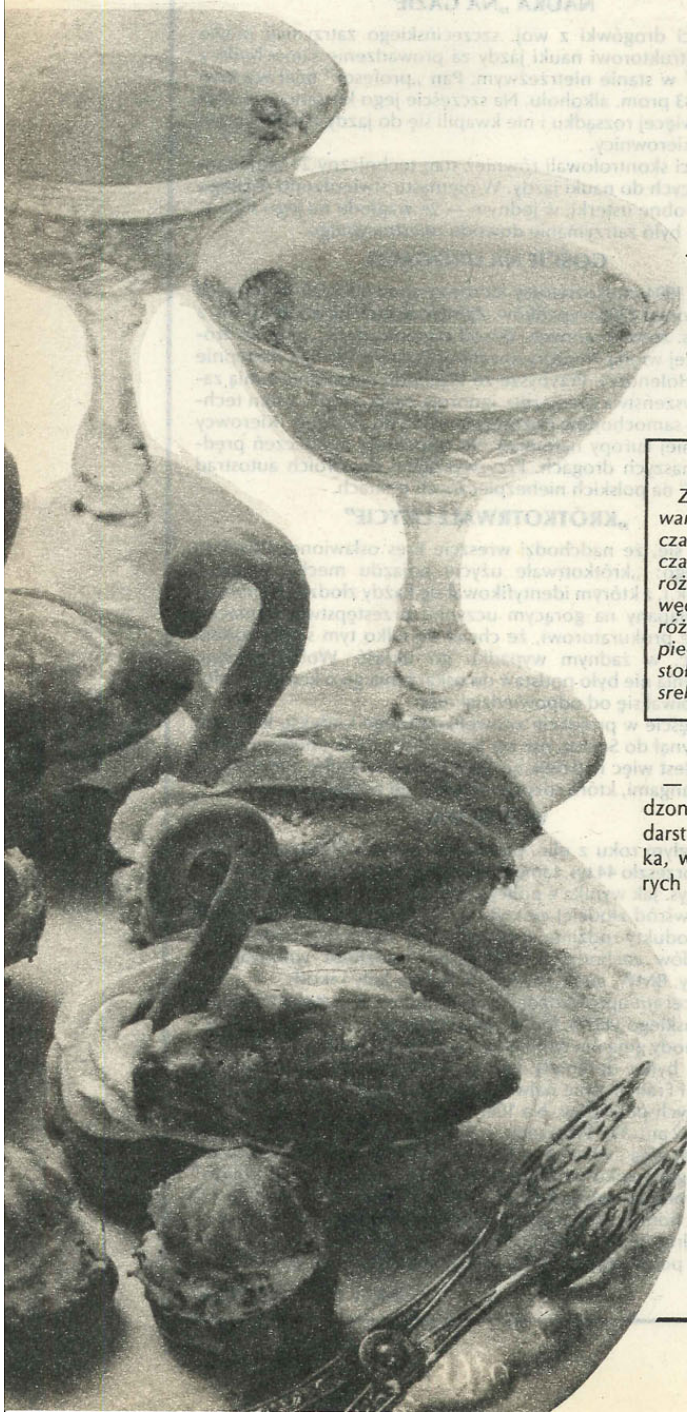
Wbrew różnym wiadomościom z „dobrej ręki” państwowi dygnitarze, podobnie jak szarzy obywatela, skazani byli (i są) na obcowanie z wyrobami polskiego POLMOS-u lub też zagranicznymi trunkami, do niedawna sprowadzanymi przez Pewex.

### FLACZKI POD LUPĄ

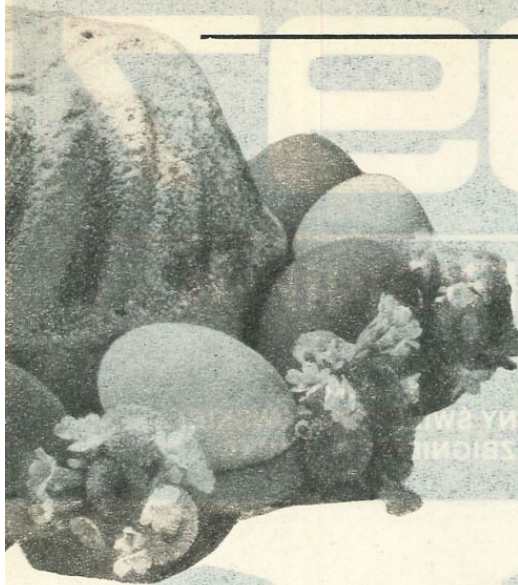
Mówią ochroniarze-funkcjonariusze BOR.

— Czy sprawdza się potrawy serwowane np. prezydentowi i jego gościom?

— Istnieje specjalna komórka zajmująca się tego typu sprawami. Lekarze sanitarni sprawują pieczę nad przygotowywanymi daniami. Konkretnie chodzi tu o produkty, które mają







# BABA..

# KUCHNI

świata. Być może Szwedzi chwalać się, że ich król jeździ po ulicach stolicy na rowerze, za to nasi „monarchowie” w przeciwieństwie do największych demokratów Zachodu, jadali i jadają to, co przeciętny Polak. Rzecz jasna ów przeciętniak jeszcze nie tak dawno miał np. ograniczony dostęp do szynki, jednak teraz...

Z drugiej strony ludzie władzy, mimo potencjalnych uroków stołu i (co tu kryć) marek mocniejszych i lżejszych trunków, pod tym względem są najbardziej upośledzonymi z upośledzonych smakoszy. Określone zestawy żywieniowe prezydenta czy premiera przygotowują dietetycy, których, acz z niechęcią, trzeba słuchać. Nie tylko chodzi tu o zdrowie jako takie. Wielogodzinne, prowadzone np. na najwyższym szczeblu rozmowy, posiedzenia czy narady raczej nie powinny być np. przerywane gastrycznymi przypadłościami wynikającymi ze zbyt sutego i obfitego obiadu.

Tak więc ci na górze w zaciszu swoich wytwornych gabinetów mogą tylko marzyć o schabowym czy np. golonce z chrzanem wraz z setką dobrze zmrożonej wódeczki.

## PREZYDENCKA „BABA” MUŚLINOWA

Ponieważ wkrótce zasiądziemy do świątecznego stołu, paniom, które miałyby ochotę spróbować słodkiego wiktuału, po który za zgodą dietetyka sięgnie prezydent Rzeczypospolitej, proponujemy przepis, z którego korzystają kucharze pierwszej osoby państwa:

24 żółtka wbijamy do emaliowanego naczynia, dodając 30 dkg cukru. Naczynie z

## Święcone

W czasach Zygmunta III Wazy tak zwane święcone ustawiano na wielkim stole w królewskiej jadalni. Składały się nań: szynki, kielbasy, salcesony, ryby w galarecie, pieczone w całości prosię oraz wielkanocne ciasta: mazurki, torty, przekładane i słynne staropolskie „baby”. Nie zapomniano oczywiście o wódkach, miodach pitnych, piwie i winie. Nad wszystkim górował wielkanocny baranek uformowany z masła lub cukru. Wszystko to ubarwiano dziesiątkami porozkładanych dookoła pisanek.

łyżeczkę mąki i łyżeczkę cukru, zamieszać i zachekać, aż zaczyn wyrośnie. Wówczas dodajemy drożdże do ubitych żółtek, ubitą na proszek wanilię oraz 25 dkg przesianej i lekko ogrzanej mąki pszennej. Ciasto ubijamy 30 min., po tym czasie dodajemy 10 dkg roztopionego, letniego masła i znów ubijamy 30 min. Gdy ciasto urośnie (w ciepłym miejscu) w dwójnasób, przekładamy je do wysmarowanej masłem, lekko ogrzanej formy karbowanej na baby. I dopiero, gdy ciasto rosnąc wypełni formę po brzegi, ostrożnie, unikając możliwych wstrząsów, wstawiamy formę do nagrzanego dobrze piekarnika. Czas pieczenia w średnio gorącym piekarniku wynosi 60—70 min.

Przepisu tego z pewnością nie można zaliczyć do najtańszych, a i jest pracochłonny. Jednak niżej podpisany może zapewnić, że baba muślinowa jest palce lizać.

PAWEŁ SZLACHETKO

trafić na stół. Każdorazowo wszystkie składniki posiłków są badane.

— Czy lekarz sanitarny ma w swoim wyposażeniu zestawy testujące, które pozwalają na wykrycie i identyfikację znanych trucizn?

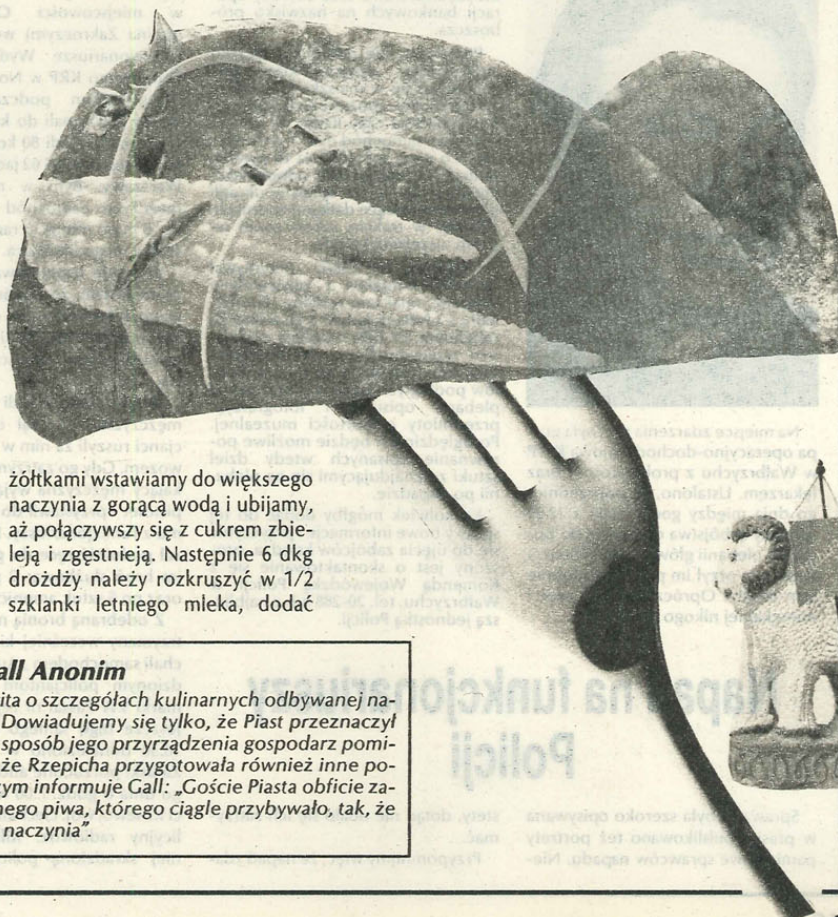
— Ujmując rzecz ogólnie, można powiedzieć, że osoba (osoby) odpowiedzialna za przygotowanie posiłków jest przygotowana na każdą ewentualność.

Dziś (jak już pisałem) Gospodarstwo Pomocnicze BOR przeszło w gestię Urzędu Rady Ministrów, z wyłączeniem posiłków przygotowywanych dla prezydenta RP.

## TAJEMNICA SMAKOWEGO SUKCESU

Z pewnością nie leży ona w zmilitaryzowaniu jednostki. Nie ma też źródła w nadmiernej dbałości o jakość menu członków polskiego rządu. Tak dzieje się na całym bożym świecie.

Jeśli chodzi o produkty, jak i sposób ich przygotowywania, pod tym względem byliśmy i jesteśmy największymi demokratami



żółtkami wstawiamy do większego naczynia z gorącą wodą i ubijamy, aż połączony z cukrem zbieleją i zgęstnieją. Następnie 6 dkg drożdży należy rozkruszyć w 1/2 szklanki letniego mleka, dodać

## Smakosz Gall Anonim

Kronikarz ten opisując postrzyżyny Ziemowita o szczegółach kulinarnych odbywanej wówczas uczty wspomina jakby mimochodem. Dowiadujemy się tylko, że Piast przeznaczył na przyjęcie gości utuczonego prosiaka, choć sposób jego przyrządzenia gospodarz pominał milczeniem. Możemy się tylko domyślać, że Rzepicha przygotowała również inne potrawy. Możemy być tylko jednego pewni, o czym informuje Gall: „Goście Piasta obficie zapijali jedzenie beczulką dobrze sfermentowanego piwa, którego ciągle przybywało, tak, że musiano zapelniać wypożyczone od sąsiadów naczynia”.





# 997

## KRONIKA

Pod redakcją  
HANNY ŚWIESZCZAKOWSKIEJ  
i ZBIGNIEWA RAZMUKA

### Zabójstwo księdza

23 stycznia 1995 r. po południu KRP w Nowej Rudzie (woj. wałbrzyskie) została powiadomiona przez grabarza z Ludwikowic, że od poprzedniego dnia nikt nie widział proboszcza miejscowej parafii pod wezwaniem św. Michała — księdza Zenona Kilana (na zdjęciu).

Z ustaleń policji wynika, że ksiądz zniknął od razu po zakończeniu południowej mszy 22 stycznia, tzn. ok. 12.30. Na plebanii paliło się światło, jednak drzwi były zamknięte. Policjanci weszli więc do środka przez okno. Przed głównym wejściem obok schodów zobaczyli zwłoki proboszcza.



Na miejsce zdarzenia przybyła grupa operacyjno-dochodzeniowa KWP w Wałbrzychu z prokuratorem oraz lekarzem. Ustalono, że poprzedniego dnia między godz. 15.00 a 22.00 sprawcy zabójstwa dostali się do budynku plebanii głównym wejściem, a drzwi otworzył im prawdopodobnie sam ksiądz. Oprócz niego w części mieszkalnej nikogo nie było.

### Napad na funkcjonariuszy Policji

Sprawa ta była szeroko opisywana w prasie, publikowano też portrety pamięciowe sprawców napadu. Nie-

Tuż za drzwiami bandyci zaatakowali księdza bijąc go w twarz i głowę, a następnie dusząc. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną zgonu ofiary był zator płucny będący wynikiem krwawienia wewnętrznego spowodowanego duszeniem. Sprawcy wykręcili księdzu ręce do tyłu i w przegubach związali sznurem z tworzywa sztucznego.

Następnie splądrowali mieszkanie. Używając łomu wyłamali drzwi do sypialni, gdzie znajdowała się metalowa kasa. Otworzyli ją najprawdopodobniej oryginalnym kluczem, ponieważ nie ujawniono na niej śladów włamania. Zawartość kasy wyrzucili na podłogę. Pozostawili na widocznym miejscu znaczną ilość marek niemieckich, dolarów amerykańskich, bony lokacyjne, kilkaset sztuk monet i numizmatów, głównie o charakterze religijnym, książeczki oszczędnościowe oraz dowody operacji bankowych na nazwisko proboszcza.

Przestępcy nie zabrali też sprzętu audio-wideo wysokiej klasy, jaki znajdował się w mieszkaniu księdza ani artykułów spożywczych (alkohole, zachodnia czekolada). W garażu stał nowy samochód marki Mercedes 200. Co więc zginęło? Na to pytanie policja nie ma jeszcze odpowiedzi. Przypuszcza się, że sprawcy ukradli pieniądze będące datkami wiernych, zebrane w trakcie zakończonej tydzień wcześniej kołody.

Ustalono, że ksiądz utrzymywał szerokie kontakty z obywatelami Niemiec, miał tam rodzinę. Gromadził na plebanii antyki o charakterze religijnym. W 1994 r. policja z udziałem wojewódzkiego konserwatora zabytków dokonała lustracji kościołów podległych tej parafii oraz samej plebanii opisując i fotografując przedmioty o wartości muzealnej. Po oględzinach będzie możliwe porównanie spisanych wtedy dzieł sztuki ze znajdującymi się na plebanii po napadzie.

Ktokolwiek mógłby dodać do tej sprawy nowe informacje i przyczynić się do ujęcia zabójców księdza, proszony jest o skontaktowanie się z Komendą Wojewódzka Policji w Wałbrzychu, tel. 20-288 lub z najbliższą jednostką Policji.

stety, dotąd nie udało się ich zatrzymać.

Przypomnijmy więc, że napad zda-



Kierowca audi



Mężczyzna z bronią

rzył się 25 lutego 1995 r. o godz. 17.15 w miejscowości Ostrzykowitz (gmina Zakroczyń) woj. stołeczne. Funkcjonariusze Wydziału Ruchu Drogowego KRP w Nowym Dworze Mazowieckim podczas pełnienia służby zatrzymali do kontroli samochód marki Audi 80 koloru zielonego, nr rej. WXE 65 62 jadący od strony Warszawy. Było w nim czterech mężczyzn. Samochód zatrzymał się ok. 5 m po minięciu radiowozu i wysiadł z niego kierowca.

W czasie legitymowania policjanci stwierdzili, że posiada on sfalszowane dokumenty, tzn. dowód osobisty i prawo jazdy. Skuli więc kierowcę kajdankami i umieścili w radiowozie.

W tym czasie z audi wysiadł drugi mężczyzna i zaczął uciekać. Policjanci ruszyli za nim w pościg radiowozem. Gdy go zatrzymywano, uciekający mężczyzna wyjął spod kurtki pistolet i przystawił do głowy jednemu z funkcjonariuszy. Drugiemu kazał podnieść ręce do góry. Odebrał im broń służbową: 2 pistolety P-64 oraz po 6 sztuk amunicji.

Z odebraną bronią napastnik i zatrzymany wcześniej kierowca odjechali samochodem „Audi” oraz skradzionym policjantom radiowozem marki VW Passat nr rej. MOP 59 75. Jeszcze tego samego dnia o godz. 18.30 odnaleziono w miejscowości Załuski porzucone audi, a następnego dnia o godz. 7.00 w miejscowości Kosewo, woj. ciechanowskie — policyjny radiowóz. Kilka dni później skradzioną policjantom broń

znaleziono podrzuconą w Warszawie.

Podajemy rysopisy sprawców napadu i publikujemy ich wykonane przez komputer podobizny:

**Kierowca audi:** wiek z wyglądu 35—40 lat, wzrost ok. 175 cm, szczupła (wysmukła) budowa ciała, szatyn, włosy średniej długości falowane gęste, cienkie wąsiki koloru ciemnego, twarz pociągła, cera śniada, czoło wysokie, oczy ciemne, brwi ciemne lekko łukowate, nos średni prosty, uszy średnie przylegające. Znaki szczególnie: tatuaż — litery — na palcach jednej z dłoni. Ubrany był w skózaną brązową kurtkę biodrówkę.

**Mężczyzna z bronią:** wiek z wyglądu ok. 30 lat, wzrost ok. 170—175 cm, sylwetka wysportowana, nieco tęższy od poprzednika, włosy jasno-blond rzadkie wystrzyżone, twarz okrągła błada bez zarostu, czoło pionowe, oczy jasne, brwi jasne słabo widoczne, nos średni prosty, uszy średnie przylegające. Ubrany był w kurtkę z zielonego materiału długości 3/4 z naszytymi kieszeniami, spodnie jasne prawdopodobnie dżinsowe sprane, na głowie miał czarną czapkę z daszkiem. Mężczyzna ten miał przy sobie broń z tłumikiem koloru czarnego.

Ktokolwiek może przyczynić się do ujęcia sprawców napadu lub posiada ważne w tej sprawie informacje, proszony jest o skontaktowanie się z Komendą Główną Policji, tel. 601-61-61, 601-20-12 lub z najbliższą jednostką Policji.



## Zbrojny napad na kantor

2 lutego 1995 r. ok. godz. 11.45 do sklepu Pewex w Ostrowi Mazowieckiej (woj. ostrołęckie) mieszczącego się przy placu Ks. Anny Mazowieckiej wszedł mężczyzna i skierował się do znajdującego się w tym sklepie kantoru wymiany walut. Właścicielowi kantoru Marianowi Gałązce podał banknot o nominale 500 tys. starych zł i poprosił o 20 dolarów amerykańskich. Posługiwał się językiem polskim.

Gdy Marian Gałązka schylił się do kontuaru po dolary, mężczyzna odwrócił się i strzelił dwukrotnie do siedzącej za ladą sklepu Pewex sprzedawczyni Elżbiety P. Trafił ją dwa razy, lecz mimo to kobieta zdołała uruchomić sygnał alarmowy. Wtedy napastnik strzelił do właściciela kantoru i trafił go w klatkę piersiową. Rana spowodowała natychmiastowy zgon Mariana Gałązki.

Napastnik spłoszony alarmem wybiegł ze sklepu z pistoletem w ręku oraz torbą, którą zaraz porzucił.

Pobiegł w kierunku ulic Okrzei i Jagiellońskiej, wbiegł na teren ośrodka zdrowia i tu stracono jego ślad.

Ustalono, że bandyta posługiwał się pistoletem gazowym typu Walther z tłumikiem kal. 6,35 mm przerobionym na ostre naboje. Jego druga ofiara, sprzedawczyni Elżbieta P., została przewieziona do szpitala z przestrzelonym uchem, barkiem i kulą tkwiącą w głowie. Jej stan jest ciężki.

Policja zabezpieczyła torbę porzuconą przez sprawcę, banknot o nominale 500 tys. zł oraz dwie łuski kal. 6,35 mm. Ustalono, że w napadzie brało udział najprawdopodobniej dwóch sprawców, z których jeden był wewnątrz, a drugi stał przed sklepem. Na podstawie zeznań świadków napadu ustalono rysopisy sprawców:



**Mężczyzna I** (rysunek): wiek z wyglądu ok. 20 lat, wzrost ok. 170 cm, sylwetka średnia, twarz owalna, cera śniada, włosy ciemne gęste, zakrywające uszy, brwi czarne gęste.

Ubrany był w czarną kurtkę do pasa, spodnie z teksasu jasnoniebieskiego mocno wytarte.

**Mężczyzna II:** wiek z wyglądu 18—19 lat, wzrost ok. 170 cm, szczupła sylwetka, włosy czarne krótko strzyżone, twarz śniada, drobna, okrągła, dziecienna, nos mały.

Ubrany był w kurtkę z czarnego materiału, zapinaną na zamek błyskawiczny, spodnie z teksasu mało wytarte, na głowie miał czarną czapkę z dzianiny.

Ktokolwiek mógłby przyczynić się do ujęcia opisanych sprawców napadu i zabójstwa lub posiada nowe informacje w tej sprawie, proszony jest o skontaktowanie się z Komendą Wojewódzką Policji w Ostrołęce, tel. 60-11-82, 60-12-55 lub z najbliższą jednostką Policji.

## Fałszywi policjanci

20 lutego 1995 r. ok. godz. 1.30 z dworca PKP Łódź-Fabryczna wyjechał autokar „Mercedes” nr rej. WKC 8204 (należący do BP. „Orbis” z Włocławka), wynajęty przez prywatne biuro podróży „BIS” z Łodzi. Wiózł 17 pasażerów do Berlina, skąd mieli odlecieć samolotem do Chin.

Po godz. 2.00 na moście w Uniejowie autokar został zatrzymany przez stojący w poprzek jezdni czerwony samochód „Polonez” z emblematem POLICJA na boku i z włączonym światłem pulsującym na dachu. Stali przy nim policjanci w mundurach typowych dla funkcjonariuszy ruchu drogowego.

Po zatrzymaniu autokaru do środka weszło trzech mężczyzn, z których jeden miał pistolet maszynowy. Oświadczyli, że szukają więźniów, a następnie polecieli wszystkim pasażerom opuścić głowy, gdyż to jest napad. Dwóch sprawców zostało w autokarze, kazali kierowcy jechać za polonezem. Samochód ruszył w stronę Turku, a po sześciu kilometrach skręcił w las i zatrzymał się 600 m od szosy.

W lesie napastnicy skuli pasażerów kajdankami policyjnymi i powiązali ich sznurkiem do snopowiązałki. Każdemu zabrali pieniądze, głównie dolary amerykańskie w kwotach

przeciętnie po 10—20 tysięcy. Potem odjechali samochodem w nieznanym kierunku.

Dzięki pilniczce do paznokci jeden z kierowców autokaru uwolnił się z kajdanek i pojechał do Uniejowa, aby powiadomić policję.

Podczas oględzin miejsca zdarzenia znaleziono kłębek białego sznurka do snopowiązałki, czarną szlufkę mogącą pochodzić od munduru policyjnego, kilka sztuk kajdanek policyjnych (niektóre zabrudzone smarem) oraz papier, w który mogły być zawinięte. Ujawniono też miejsce, w którym sprawcy zdejmowali mundury.

Podczas napadu bandyci, inni niż ci, którzy stali przy polonezie zatrzymującym autokar, ubrani byli w mundury, buty i kominarki typowe dla grup antyterrorystycznych Policji. Używali języka polskiego, rozmawiali bardzo mało. Interesowali się tylko gotówką. Istnieje podejrzenie, że za autokarem z Łodzi jechał drugi samochód, którym poruszali się wspólnicy napastników.

Ktokolwiek mógłby uzupełnić podane wiadomości o napadzie i jego sprawcach, proszony jest o skontaktowanie się z Komendą Wojewódzką Policji w Koninie, tel. 45-44-31 lub z najbliższą jednostką Policji.

# MORATEX®

# ITWWW

## KAMIZELKI KULOODPORNE

o różnej skuteczności ochronnej (Parabellum, TT)

wykonane z najlepszych surowców balistycznych:

„KEVLAR”, „TWARON”, „DYNEEMA”

atestowane

nagrodzone Złotym Medalem

na Światowej Wystawie Wynalazków i Innowacji EUREKA '94 w Brukseli

**poleca producent:**

Instytut Technicznych Wyrobów Włókienniczych „MORATEX”

90-950 ŁÓDŹ, ul. M. Skłodowskiej-Curie 3  
tel. 37-37-10, fax 36-92-26, tlx 88-65-17



## SALONY MEBLI IMPORTOWANYCH I KRAJOWYCH

## WALTNER

OFERUJĄ

MEBLE DO WSZYSTKICH WNĘTRZ

NAJWYŻSZA, ŚWIATOWA JAKOŚĆ

CENY PROMOCYJNE

DLA OSÓB Z KUPONEM „MAGAZYNU KRYMINALNEGO 997”

7% TANIEJ



SALONY WALTNERA

Warszawa, ul. Domaniewska 41  
tel. 43-20-01  
ul. Wysockiego 6  
tel. 11-04-53  
ul. Waszyngtona 45/51  
Ottock  
ul. Rzemieślnicza 6  
tel. 779-50-29

SALONY CZYNNIE PRZEZ 7 DNI W TYGODNIU

Kupon ważny do 23.04

magazyn 997 kryminalny

Kupon ważny do 23.04



# MOCNE PLECY BURMISTRZA

**Jesienny wieczór, godzina 19.40. Centrum małego miasta — dworzec PKS i poczta. Ze sklepu spożywczego wychodzi dziewczyna. Od miejsca pracy do domu dzieli ją kilkaset metrów. W bladym świetle latarni mija dwie przecznice, skręca w piaszczystą drogę, już niedaleko.... Raptem z tyłu dobiega tupot butów, słyszy ciężki oddech biegnącego. Jest coraz bliżej, tuż, tuż... Odwraca się i w świetle latarni dostrzega wykrzywioną brodatą twarz, w ułamku sekundy uświadamia sobie, że zna tego człowieka; w tej samej chwili broda bez słowa chwytając ją oburącz z tyłu i usiłując zaciągnąć w krzewy porzeczki po prawej stronie drogi. Serce podchodzi jej do gardła, nogi wrastają w ziemię...**

— Ratunku! Na pomoc! Ratunku! Ratunku! — rozpaczliwy krzyk wyrwa się z jej piersi. Lecz wokoło nie ma żywej duszy. Próbuje wyzwolić się z żelaznego uścisku.

Nagle w obejściu sąsiadów zapala się światło, zaczyna ujadać pies. Zaskoczony napastnik puszcza ofiarę, odwraca się i znika w ciemnościach.

Nieprzytomna ze strachu Edyta U. wpada do domu:

— Mamusi... napadł mnie... napadł mnie brodaty!

— Kto, córeńko? Jaki brodaty?

— To był..., to był... burmistrz!...

Rodzice Edyty — Celina i Tadeusz U., mieszkańcy Trzcianki (woj. pilskie), gdzie 23 października 1994 r. rozegrała się ta dramatyczna scena, akurat oglądali telewizyjnie „Wiadomości” i nic nie słyszeli. Nie od razu mogli pojąć, co spotkało ich córkę, niewiarygodne zwłaszcza było to, że sam burmistrz Trzcianki, Andrzej F. miałby być sprawcą napadu... Że w grę wchodzi usiłowanie zgwałcenia, oboje rodzice nie mieli wątpliwości. Nie było tylko stuprocentowej pewności co do osoby sprawcy. Edyta była przecież w szoku. Dopiero nazajutrz zdobyli kasetę wideo z wystąpieniem burmistrza. Edyta natychmiast rozpoznała w nim mężczyznę z brodą, którego poprzedniego wieczoru obsługiwała w sklepie spo-

żywym — kupował 3 piwa „EB”, był lekko wstawiony i prawił jej komplementy. Miał na sobie zieloną kurtkę. Jagoda — koleżanka ze zmiany, powiedziała jej, co to za figura. Edyta była pewna, że ten sam brodaty mężczyzna dopadł ją na ul. Żwirowej...

Zaraz po napadzie rodzice Edyty



byli zbyt roztrzęsieni i zdezorientowani, by podejmować jakiegokolwiek decyzje. Uplynęła godzina zanim nieco ochłonęli. Zdecydowali, że pojadą do komendy, a policjanci szybko ustalą, czy sprawcą był rzeczywiście burmistrz Trzcianki, poczynią też stosowne kroki. Nigdy nie mieli styczności z policją, ale obdarzali ją całkowitym zaufaniem. Z takim nastawieniem udali się do Komendy Rejonowej Policji w Trzciance.

Ponieważ w tej historii przewija się

## POSTAĆ BURMISTRZA,

warto, choćby w zarysie, przedstawić jego sylwetkę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, iż ktoś sprawujący tak poważną funkcję w hierarchii władzy samorządowej, a do tego mąż i ojciec — „poluje” wieczorem na sklepową ekspedientkę. Są przecież inne, bezpieczniejsze sposoby zdobycia kobiety. Chyba że ów ktoś... lubi ryzyko, nie obawia się odpowiedzialności i nie ma moralnych skrępowań. Ale to tylko dygresja.

Już w sierpniu 1980 r. Andrzej F., z zawodu elektryk, dał się poznać jako założyciel „Solidarności” w Trzciance. Wiosną 1990 r. w wyborach do władz lokalnych, wystartował jako kandydat na radnego. Niedługo potem został burmistrzem. Był błyskotliwy, imponował mnóstwem ciekawych pomysłów, co zjednało mu wielu sympatyków. Z czasem okazało się, że gorzej było z realizacją ambitnych planów. Publiczną tajemnicą

stało się to, że burmistrz ma dwie słabości: alkohol i kobiety.

21 grudnia 1990 r. jadąc po pijanemu polonezem potrafił na ul. Dąbrowskiego w Trzciance Ludwika K., po czym nie udzielwszy rannemu pomocy, odjechał z miejsca wypadku. Ludwik K., ślusarz miejscowego „Lubmoru”, doznał stłuczenia prawej ręki, nogi oraz pęknięcia kości czołowej i uszkodzenia nerwu wzrokowego. Przez kilka tygodni walczył ze śmiercią, leczono go w szpitalach w Trzciance, Wałczu i Bydgoszczy. Został kaleką.

Świadkowie widzieli, kto spowodował wypadek i sprawa trafiła na wokandę Sądu Rejonowego w Trzciance. Andrzej F. nie przyznał się do winy, mimo iż badanie krwi wykazało 1,41 promila alkoholu. Na trzy miesiące zatrzymano mu prawo jazdy, lecz on i tak jeździł... Sąd uznał burmistrza za winnego i skazał na rok pozbawienia wolności z zawieszeniem na 2 lata. Sąd Wojewódzki w Poznaniu zmienił jednak kwalifikację czynu i uznał, że sprawca popełnił

mną notatkę z przebiegu zdarzenia. Edyta U. wraz z matką domagały się okazania im zdjęcia burmistrza, by zidentyfikować domniemanego sprawcę napadu. Policjant odpowiedział, że nie może spełnić tej prośby. Poprosiły wobec tego, by w asyście policji udać się do domu Andrzeja F. lub wezwać go do komendy, by rozwiązać wątpliwości co do osoby sprawcy. Tej prośby również nie spełniono, tracąc cenne minuty. Waldemar S. po sporządzeniu notatki powiadził państwo U., że teraz „mogą spokojnie położyć się spać”, a on jutro przekaże sprawę kolegom. Uznał, że do zgwałcenia nie doszło, więc można poczekać. Na usilne błaganie Celiny U., by zdjąć odciski palców sprawcy ze skórzanej kurtki Edyty, policjant również nie zareagował. Wyglądało na to, że nie widzi takiej potrzeby. Jedyną czynnością jaką wykonał, było udanie się na ul. Żwirową i obejrzenie miejsca zdarzenia. Nie wykonał jednak podstawowej czynności: nie zabezpieczył śladów obuwia.

Waldemar S. oznajmił Celinie U., że szukał burmistrza w restauracji „Złoty Róg”, lecz tam go nie było. Ten sam policjant dzwonił wcześniej prawdopodobnie do domu Andrzeja F. z aparatu dyżurnego. Siedząca przy dyżurce Celina U. słyszała fragment rozmowy: „Sebastian?... To daj mamę... Sprawa intymna...” Do dziś nie wiadomo, jaką to „intymną” sprawę miał na myśli Waldemar S., wiemy tylko, że burmistrz ma syna o imieniu Sebastian. Na pytanie Celiny U. z kim rozmawiał — Waldemar S. odparł, że z „kierownikiem”. Gdy kobieta ponownie zaczęła nalegać na wizytę u burmistrza, odpowiedział: „Pani F. (żona burmistrza — przyp. W.G.) nie życzy sobie wizyt po godz. 22.00”. „Według Celiny U. była wówczas 21.40. Oficer dyżurny, jej dobry znajomy st. sierż. I. powiedział tylko, że „chłopaki (policjanci) widzieli przed domem burmistrza jego czerwony samochód, więc na pewno jest w domu”.

Tak wyglądała „operatywność” policji w sprawie usiłowania zgwałcenia Edyty U. Ale przecież

## DO ŻĄDANEGO ZGWAŁCENIA NIE DOSZŁO —

tłumaczył mi kierownik dochodzeniówki, a tę samą myśl powtarza zastępca komendanta KRP w Trzciance nadkom. Witold Kołodziejczak. — Wszystkie czynności policjanci wykonali prawidłowo. No, może z wyjątkiem protokołu, który zgodnie z procedurą powinien być sporządzony i podpisany w dniu powiadomienia o przestępstwie. Pokrzywdzona zgłosiła się 24 października i wszystkie formalności zostały dopełnione. Nadkom. Stefan Skiba, naczelnik Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego KWP w Pile jest podobnego zdania: — Nie doszło nawet do zdarcia ubrania, czyli wstępnej fazy zgwałcenia,

## W CZYM WIĘC PROBLEM?

No właśnie, w czym? Czym wytłumaczyć zaniechanie działań przez policję w dniu przestępstwa i nierobienie dosłownie niczego w rzeczywistości przez kolejnych 11 dni? Zastępca komendanta nic ponoć nie wiedział, że policjanci usiłowali skontaktować się w dniu zdarzenia z Andrzejem F. Dopiero w poniedziałek wydał decyzję o wezwaniu burmistrza do komendy. Niestety, pan Andrzej F. nie był obecny w pracy ani w domu. Jego żona poinformowała,

jedynie wykroczenie drogowe. Po roku, z powodu przedawnienia, sprawę umorzono.

Jeden z mieszkańców Trzcianki mówiąc o pierwszej osobie w mieście określił ją dowcipnie tak: lubi być w centrum uwagi wszystkich, na weselu — zawsze będzie przed panem młodym, na pogrzebie — ważniejszy od nieboszczyka, a przynajmniej drugi po księdzu.

Inną sprawą, która poważnie nadzarpała reputację Andrzeja F. było zainwestowanie w uzbrojenie terenu pod tzw. biedadomem 600 mln zł bez uprzedniej akceptacji Rady Miejskiej. Ponieważ w kasie urzędu miasta zabrakło pieniędzy, nie zwrócono w terminie wadium w kwocie ok. 250 mln starych zł, wpłaconych przez firmę uczestniczącą w przetargu na tę inwestycję. Czas mijał, odsetki rosły. Wreszcie kontrahent wniósł sprawę do sądu i wygrał: urząd miasta musiał wypłacić mu wraz z odsetkami miliard starych złotych. Radni zarzucili Andrzejowi F. niegospodarność... Miał jednak dobre „plecy” i jego wpływy w mieście pozostały nienaruszone.

Powróćmy jednak do napadu na Edytę U. i do momentu wizyty państwa U. wraz z córką

## W MIEJSCOWEJ KRP.

Dyżurny, st. sierż. I. złapał się za głowę, gdy dowiedział się, o co chodzi: Andrzej F.? — O Jezu! To niemożliwe!

Sprawą Edyty U. zajął się sierż. Waldemar S., który sporządził pise-



że wyjechał służbowo do Poznania i Warszawy. Nieoficjalnie wiadomo było, że przebywał w jednym z podległych sobie ośrodków wypoczynkowych, konkretnie zaś w Ośrodku Sportu i Rekreacji „Ajax”. Powrócił „z delegacji” w piątek i uczestniczył w sesji Rady Miejskiej.

W piątek, 28 października policja — bez zeznań Andrzeja F. — przekazała sprawę do Prokuratury Rejonowej w Trzcińcu. Potem były trzy dni świąt, drugiego dnia po świątach, już na osobisty telefon zastępcy komendanta, który jest z nim na „ty”.

### BURMISTRZ ZJAWIŁ SIĘ W KRP

i podczas przesłuchania kategorię przeczł, jakoby był sprawcą napadu na Edytę U. Tego dnia był w Kolobrzegu i ma na to świadków. Gdy przesłuchujący go policjant powiedział mu, że są świadkowie, którzy widzieli go wieczorem w Trzcińcu, przypomniał sobie, iż rzeczywiście wstąpił po piwo do sklepu, gdzie pracuje Edyta U.

1 listopada 1994 r. piłski „Tygodnik Nowy” opublikował artykuł pt. „O wybruku trzcińskiego prominenta”, na co Andrzej F. złożył zażalenie do sądu oskarżając autorów publikacji red. Waldemara Piątka i red. Zbigniewa Noskę o naruszenie dóbr osobistych, mimo iż w tejże publikacji nie wymieniono jego nazwiska.

22 listopada Sąd Wojewódzki w Poznaniu — Ośrodek Zamieszcowy w Pile — w odpowiedzi na prośbę Andrzeja F. wydał zarządzenie, na mocy którego zakazał dalszych publikacji na temat wiadomej sprawy w „Tygodniku Nowym”, oddalając wnioski o zakaz publikacji we wszystkich środkach masowego przekazu. Decyzję uzasadniono tym, iż zawarte w artykule dane, są tak czytelne dla mieszkańców Trzcińki, że pozwalają na jednoznaczne wskazanie głównego „bohatera”, co narusza dyspozycję art. 13.2 Prawa prasowego.

24 listopada 1994 r. Rada Miejska Trzcińki odwołała Andrzeja F. ze stanowiska burmistrza. Mimo to wciąż sprawuje on funkcję radnego.

Lekarz, który zbadał Edytę U. 27 października 1994 r. rozpoznał u pacjentki „stan po napaści i usiłowaniu gwałtu”. Tymczasem w aktach sprawy figurują

### „ŁAGODNE” PARAGRAFY —

przestępstwo „zakwalifikowano bowiem jako art. 167 par. 1 i art. 166 w związku z art. 10 par. 2 k.k. (zmuszenie innej osoby groźbą lub przemocą do określonego zachowania się... zagrożone karą pozbawienia wolności do 2 lat, ograniczeniem wolności lub grzywny).

Rodzice Edyty U. wniosli do KWP w Pile skargę na postępowanie trzcińskiej policji w sprawie córki. Po zbadaniu sprawy, inspektorat komendanta wojewódzkiego odpowiedział, że

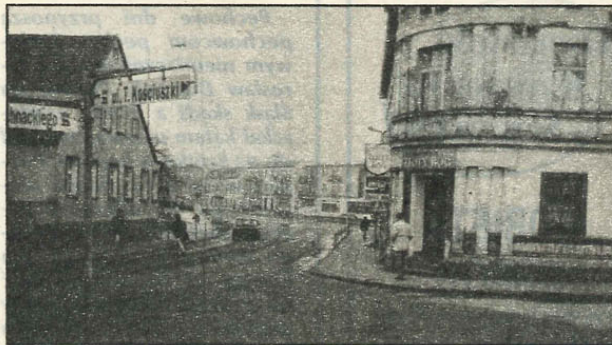
### NIE DOPATRZONO SIĘ UCHYBIENIA

za wyjątkiem naruszenia procedury sporządzenia protokołu. Istotnie, od czasu spisania protokołu i zaangażowania w związane z nim czynności zależał taki „drobiazg”, jak kontakt z burmistrzem i mogące wyniknąć z tego niepotrzebne kłopoty. Nie wiem, czy Inspektoratowi Komendy Wojewódzkiej Policji w Pile wiadomo, że w związku z inną sprawą — wspomnianym już potrąceniem pieszego przez nietrzeźwego Andrzeja F. — przed trzema laty zwolniono z pracy dwóch nabytych pracowi-

tych funkcjonariuszy? Może warto nieco głębiej zbadać tę sprawę?

I jeszcze jedna uwaga: jaką wartość z moralnego punktu widzenia ma dla rodziców poszkodowanej Edyty U. pisemne zapewnienie inspektoratu, że inni policjanci będą uczyć się na błędach kolegów? Czy może ono stanowić jakąkolwiek satysfakcję dla kogoś, kto stracił zaufanie do Policji?

Gdy historia Edyty U. nabrała rozgłosu, ze względu na dobro śledztwa Prokuratura Wojewódzka w Poznaniu — (Ośrodek Zamieszcowy w Pile) — zleciła przejęcie dalszych czynności dochodzeniowo-śledczych Prokuraturze Rejonowej w Chodzieży. Prokurator rejonowy Andrzej Kędzierski sądzi, że wszystkie czynności zostaną niebawem zakończone. Przesłuchano już podejrzanych i wszystkich świadków, w tym policjantów KRP w Trzcińcu. Prokurator



prowadzący sprawę podziela zdanie Edyty U. i jej rodziców, iż policjanci przyjmujący zgłoszenie o przestępstwie nie dopełnili podstawowego obowiązku, tj. nie doprowadzili do

natychmiastowej identyfikacji podejrzanego przez pokrzywdzoną.

WALDEMAR GAJEWSKI  
zdj. autor

## OD NOCNIKA DO PROMU KOSMICZNEGO

**„Jest w stanie produkować wszystko, od nocnika po prom kosmiczny. Jego 15 ludzi może zbudować w ciągu roku osiedle dla 5 tys. osób. W jego głowie pomysły goni pomysły” — pisała prasa na Wybrzeżu o Januszu Leksztoniowi pod koniec lat osiemdziesiątych. Był właścicielem przedsiębiorstwa ELGaz w Gdyni, produkującego wówczas kotły gazowe dla właścicieli domków jednorodzinnych. Jego firma udzielała kupującym 10 lat gwarancji na swoje wyroby.**

Kiedy kapitalizm opanował nasz system gospodarczy na dobre, Janusz Leksztōn windował się na liście najbogatszych biznesmenów, drukowanej w tygodniku „Wprost”.

Z kotłami zetknął się po raz pierwszy w zakładzie swojego ojca w Krakowie. Tam też rozpoczął studia w AGH. W 1985 r. jednak rzucił uczelnię i przeniósł się na Wybrzeże. Już w następnym roku zarobił 80 mln zł (co w 1986 r. stanowiło zupełnie niezłą sumę), a rok później 800 mln zł. Kiedy powstał ELGaz, w pierwszym roku jego działalności zapłacił półtora miliarda zł podatku dochodowego...

Zaczął od kotłów gazowych i centralnego ogrzewania, później doszła jeszcze produkcja automatyki termoelektroautomatycznej do tychże kotłów oraz kucharek gazowych, potem zajęł się montowaniem podłogowej instalacji grzewczej.

Współpracując z jedną z japońskich firm miał uruchomić produkcję anten satelitarnych. Amerykanie z kolei zainteresowali się wspólną produkcją i sprzedażą kotłów służących do spalania odpadów. Firmie ELGaz marzyły się jeszcze: budowa osiedli mieszkaniowych, uruchomienie własnej sieci sklepów, aż do budowy lotniska włącznie...

Jak to się więc stało, że 26 marca 1993 r. Janusz Leksztōn, właściciel tak świetnie prosperującego w poprzednim systemie ELGazu, został aresztowany, a 20 stycznia br. skazany na trzy i pół roku pozbawienia wolności? Co prawda sąd zaznaczył, że „ze względu na dobro wierzycieli firmy obecność Janusza Leksztōna na wolności jest wskazana”. Ale jak to rozumieć? Dotąd ferowano wyroki w zawieszaniu (lub nie). Jak zakwalifikować ten wyrok?

— W tej sprawie prowadziliśmy aż dwa rozprawy — mówi asp. Leszek Kolczak, młodszy specjalista Wydziału ds. PG KWP w Gdańsku. — Pierwsze o kryptoniemie „Bufon I” nie przyniosło rezultatu. Choć byliśmy świeżo przekonani, że Janusz Leksztōn wyłudził kredyt na szkodę Pomor-

skiego Banku Kredytowego Odziału w Gdyni, przedstawiając fałszywe dane, prokurator odmówił wszczęcia postępowania twierdząc, że policja miesza się w nie swoje sprawy.

— Nie daliśmy za wygraną — kontynuuje mój rozmówca. — Zaczęliśmy grzebać w dokumentach sądu gospodarczego. Przerzuciliśmy kilka tomów akt. W tym czasie do ELGazu wkroczył syndyk i ogłosił jego upadłość. My trafiliśmy na ślad francuskiej firmy Cartier Philippe Distribution...

Ażeby otrzymać kredyt w PBK, w sumie 203 mld zł (jakieś 8 i pół miliona dolarów), Janusz Leksztōn przedstawił w banku umowę na wykonanie komputerowego programu „Galaxis I-VI”. Kontrakt opiewał na 20 mln dolarów, a jego gwarantem miała być wspomniana firma Cartier. Policjanci pojechali do Francji i dotarli do jej szefa.

— Jestem francuskim biznesmenem — powiedział. — Mam szerokie kontakty w świecie. Promuję francuskie towary. Mam też możliwość załatwienia kredytów dla przedsiębiorstw w państwach Europy Wschodniej. W 1990 r. zwróciłem się do ambasadora Francji w Warszawie z prośbą o znalezienie partnera, który potrzebowałby kredytu w branży lotniczej. Wskazano mi pana Janusza Leksztōna. Po wymianie wstępnych informacji nie doszło pomiędzy nami do zawarcia żadnej konkretnej umowy. Moja rola sprowadziła się do negocjowania kredytów dla ELGazu od zagranicznych kredytodawców. Nie udało mi się jednak załatwić takiego kredytu dla pana Leksztōna...

— Philippe Cartier pojawił się w ELGazie na początku 1990 r., gdy w prasie ukazały się ogłoszenia informujące o tym, że nasza firma prowadzi nabór personelu lotniczego — stwierdził adwokat Leksztōna. — Zaofertował pośrednictwo w zakupie samolotów. ELGaz otrzymał mnóstwo propozycji, ale Cartier jako jedyny przybył do firmy osobiście. Dlatego od niego właśnie kupiono samolot Corvette. Przy tej okazji

Cartier zainteresował się działem komputerowym ELGazu. Zaproponował panu Leksztōnowi kontrakt na oprogramowanie wartości 20 mln dolarów. Umowa została podpisana.

Przedstawiciele firm Philippe Cartiera przywieźli do ELGazu rolki papieru zadrukowane kolumnami cyfr, a wrócili do Francji z gotowymi dyskietkami.

Dlaczego sami nie mogli wykonać tej dziecinnie prostej roboty — zastanawiali się policjanci.

W banku Leksztōn przedstawił faktury, według których wykonał zlecenie za 7 mln dolarów. Tyle, według tychże rachunków, powinien w najbliższym czasie zainkasować od Francuzów. Na tej podstawie dostał 8,5 mln dolarów kredytu z banku (wyplaconego w złotychkach oczywiście).

Kiedy pokazało te faktury Philippe Cartierowi, stwierdził, że nigdy nie był i nie jest winny Januszu Leksztōnowi żadnych pieniędzy, nigdy nie słyisał o żadnym programie „Galaxis I-VI”, nie zamawiał w ELGazie żadnych usług komputerowych ani innych, a podpis na przedstawionej mu umowie nie jest jego. Nikogo też nie upoważniał do podpisywania podobnej ani żadnej innej umowy z ELGazem.

Po przedstawieniu tych zeznań przywiezionych z Francji prokuratura w Gdyni wydała nakaz aresztowania Janusza Leksztōna. Jego adwokat uparcie podtrzymywał wersję z zamówieniami od Cartiera i wpisywaniem na dyski przywożonych z Francji cyfrowych kolumn. Tylko że w ELGazie nie pracuje już nikt, kto uczestniczył w rzekomej realizacji komputerowego zamówienia, a sam szef firmy nie pamięta nazwisk swoich byłych podwładnych, którzy tym się zajmowali...

Wciąż jednak trudno zrozumieć, w jaki sposób taki potentat, udzielający 10 lat gwarancji na swoje wyroby, nagle znalazł się w sytuacji, kiedy musiał wyłudzać z banku miliardowe kredyty zamiast wyjmować je ze swojego konta, skoro firma tak dobrze prosperowała? Czyżby miliardowe fortuny ucziwie można było robić tylko w poprzednim systemie gospodarczym, a kapitalizm polega na oszukiwaniu i wyłudzeniu pieniędzy z banków? A może Janusz Leksztōn jest ofiarą jeszcze większych od siebie rekinów?

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI



## OSOBOWOŚĆ KRYMINALNA SPRAWCÓW

### KOBIETA WŚRÓD PRZESTĘPCÓW

Wielką rolę w kształtowaniu osobowości kryminalnej kobiety odgrywa sfera płciowa, która jest zasadniczo różna od sfery płciowej mężczyzny. Stany biologiczne u kobiet, zwłaszcza: menstruacja, ciąża, poród, klimakterium oraz wywołane nimi nastroje psychiczne sprzyjają niewątpliwie popełnianiu takich przestępstw, jak: obraza cudzej godności, zniesławienie, drobne kradzieże itp. Mogą sprzyjać także popełnianiu przestępstw poważniejszych, jak porzucenie dziecka, znęcanie się nad dzieckiem, a nawet dzieciobójstwo czy zabójstwo. Kobiety są także bardziej od mężczyzn mściwe, szczególnie groźne okazują się w grupach przestępczych i gangach kryminalnych, gdzie wprawdzie dopuszczają się w większości przypadków tylko zjawiskowych postaci zbrodni (pomocnictwo, podżeganie), ale są w tym niezmiernie konsekwentne.

Z punktu widzenia seksualnego zasługują na uwzględnienie dwa specjalne typy kobiet, mianowicie stare panny i histeryczki. Pierwsza, zawiadziona i zgorzkniała, widzi wszędzie zło (oczywiście znowu nie należy uogólniać). Druga jest w niezrozumiały sposób bądź czymś wielkim przyjacielem, bądź równie wielkim wrogiem. Od niej najczęściej pochodzi wiele fałszywych doniesień i obwinień, zwłaszcza w formie anonimowej. Niektórzy twierdzą, że w kobiecie istnieje przewaga uczucia nad intelektem, co podobno prowadzi do tego, że kobieta nie potrafi być sprawiedliwa.

Udział kobiet w przestępczości jest znacznie mniejszy niż mężczyzn. Można to wytłumaczyć mniejszą siłą fizyczną, mniejszą odwagą, w szczególności zaś znaczną biernością kobiety nawet wtedy, gdy w grę wchodzi tak ważny czynnik kryminogenny, jak alkohol. Jako ciekawostkę można tu podać, że słynna włoska szkoła antropologiczno-kryminalna tłumaczyła to również prostytucją kobiety, jako równoważnikiem kradzieży, rabunku, oszustwa czy innego przestępstwa. Wreszcie okolicznością wyjaśniającą mniejszy lub większy udział kobiety w przestępczości jest mniejszy lub większy udział w życiu publicznym. Im bardziej kobiety są tylko żonami, matkami i gospodyniami domowymi, tym mniej będzie kobiet popełniających przestępstwa.

oprac. STANISŁAW FLASIŃSKI

**Pechowe dni przynoszą pechawcom pecha. Życiowym nieudacznikiem był Jarosław Durczak. Przybył na Śląsk skądś z Polski, zamieszkał kątem u brata, zaczął się na krótko w kopalni. Później wiódł życie lumpa niegroźnego dla otoczenia, lażęgi, chętnie odwiedzającego meliny, gdzie mógł „na krzywy ryj” załapać się choć na kielicha. 13 września, gdy pijąc piwo przed halembskim sklepem leczył kaca, Adam Żal, którego wcześniej nie znał, zaprosił go wraz z kumplami na wódkę. Durczak już nigdy nie opuścił mieszkania Żala. Ścisłe mówiąc, opuścił je jako nieboszczyk.**

Zwłoki ujawnił późną nocą lokator bloku przy ulicy Międzyblokowej w Rudzie Śląskiej. Mężczyzna leżał na chodniku, w rozchylonej koszuli, rozpiętych spodniach, bez butów i skarpetek. We wrześniową noc raczej nikt tak ubrany nie wychodzi na dwór. Układ ciała, widoczne obrażenia, rozlewisko krwi sugerowały, że denat znalazł się tutaj na skutek czyjejś akcji przestępczej.

— Krople krwi doprowadziły nas do dwóch mieszkań, obu położonych na parterze w sąsiednich klatkach — mówi zastępca komendanta rejonowego nadkom. Jerzy Karczewski. — W tym bardziej odległym mieszkaniu — znanej melinie, zastaliśmy przemęzone alkoholem towarzyszo. Któryś z mężczyzn miał rozbity nos. Szybko wypadł ze sprawy.

W drugim mieszkaniu, należącym do Adama Żala, nie zastano nikogo. Drzwi były zamknięte. Prokurator więc polecił wejść do środka przez otwarte okno. Wewnątrz znaleziono dowód osobisty, dzięki któremu ustalono tożsamość zabitego. Na wykładzinach podłogowych, na tapetach, na lamperkach w łazience ujawniono rozmary krwi. W tapczanie znaleziono zakrwawione dwie pary

spodni. Na stoliku w największym pokoju leżał nóż z przyschlými drobinami krwi na ostrzu. W przedpokojku stwierdzono brak dużego fragmentu w wysycielającej podłogę połówce starego dywanu. Odnaleziono go wkrótce, nasączony krwią, w śmietniku przy sąsiednim bloku. Spośród śmieci wydobyto również zakrwawioną koszulę, spodnie i buty. Należały do Durczaka, co bez wątplenia stwierdził jego brat.

Sekcja zwłok dostarczyła odpowiedzi na pytanie o mechanizm zgonu. Jarosław Durczak zginął od pchnięcia zadanych ostrym narzędziem w szyję, przecinających żyłę i tętnicę oraz rany zadanej w klatkę piersiową, której kanał drążył prawe płuco. Urazy spowodowały

ze względu na stan zdrowia. Wróciwszy do Halemby, wygnął kobietę, którą niegdyś przyciągnął tu z Katowic, i zamieszkał z 37-letnią Katarzyną Łotryk.

Policja drogą operacyjną ustaliła, że poprzedniego dnia, w domu Adama Żala od świtu trwała ostra pijatyka. Uczestniczyli w niej oprócz gospodarza i jego konkubiny, Durczak, Łukasz Węgierski i Józef Haber. Dwaj ostatni zeznali, że poszli sobie, po tym, jak Żal zranił Węgierskiego nożem w policzek. „Na mecie” został tylko Durczak, nie znany zresztą poprzednio Żalowi. To Węgierski zawłókł go na popijawę.

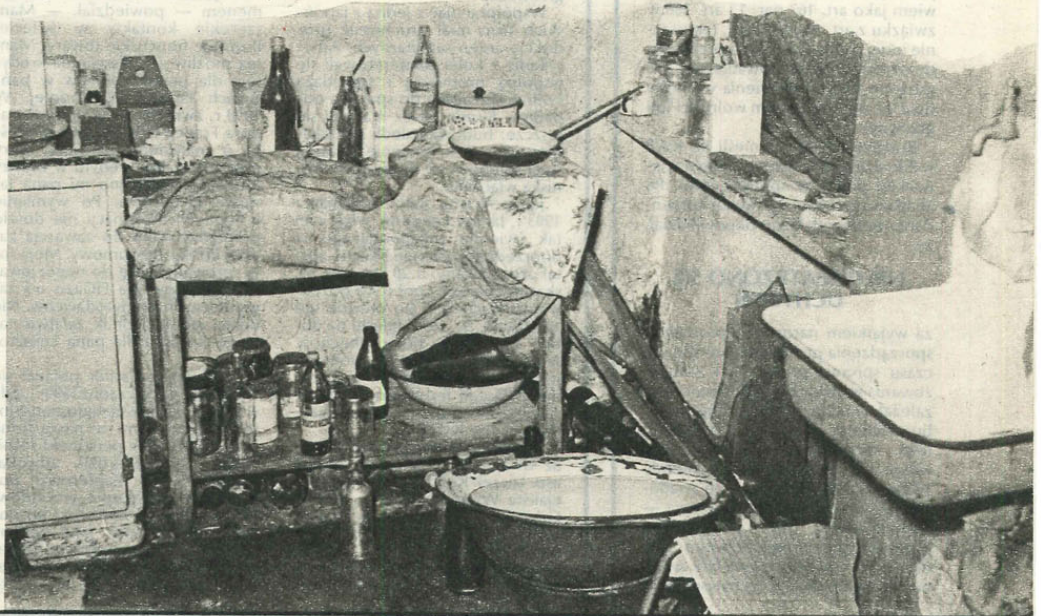
Przez długie tygodnie Adam Żal i jego towarzyszka pozostawali dla policji nieuchwytni. Dopiero 19 li-

## HONOR RECYDYWISTKI

masowy krwotok do jam opłucnowych. Ponadto denat miał inne obrażenia: rany klute na ramieniu, na udzie oraz z tyłu, na łędźwiach.

Prokurator wraz z policją dysponował ważnymi punktami odniesienia: były zidentyfikowane zwłoki, było mieszkanie, gdzie dokonano zbrodni. Brakowało sprawy, lecz wyraźne podejrzenia koncentrowały się na Adamie Żalu. 46-letni mężczyzna większość życia spędził w więzieniach, karany przeważnie za rozboje i kradzieże z włamaniami. W jego karcie karalności widnieje 12 adnotacji o wyrokach. Latem 1994 roku uzyskał przerwę w odbywaniu kary

stopada Katarzynę Łotryk, zwaną „Dzierganą”, od więziennych tatuaży zdobiących ją od stóp do głowy, można było przesłuchać w charakterze świadka. Wyjawiała bez oporów, że Durczaka zamordował Żal. Niosła kawę z kuchni, gdy zobaczyła Adama krzyczącą głośno na Jarka. Widziała, jak zrywa się z pufy i nożem zadaje Durczakowi pchnięcie w bok. Tamten krzyknął: — Nie zabijaj mnie! A ona do Adama: — Uspokój się! Żal wrzasnął: „Wyp...”, więc uciekła do małego pokoju. przyszedł za moment i pogroził: — „K...”, jak powiesz, co się stało, zrobię z tobą to samo”. Uniósł Durczaka, za-





ciągnął do łazienki i rzucił obok klozetu. Kazał jej się ubrać i wyjść z domu. Błagała Żala: „Wezwij pogotowie, jego da się uratować!”, ale on warknął groźnie: „Stul mordę!”

Z dalszych relacji Łotrzyk wynikało, że autobusem linii 146 pojechali do Bytomia, stamtąd natomiast do Katowic, gdzie kupili flachę wódki. Skonsumowali ją Żal nabrał animuszu, zarządził więc powrót do domu. Pościerał chałupę, wyniósł trupa. Ona mu w niczym nie pomagała. Po przesłuchaniu „Dzierganą Kasie” zwolniono.

Parę dni później policja zdobyła operacyjną wiadomość, że w Areszcie Śledczym w Bytomiu siedzi pod obcym nazwiskiem Adam Żal. Zatrzymano go podczas zwykłego legitymowania. Nie zdradził prawdziwych personaliów. Był jednak na tyle głupi, że w dowód osiemnastolatka kleił własne zdjęcie, co od razu rzuciło się w oczy funkcjonariuszom. Prokurator bytomski wydał nakaz aresztowania Żala pod zarzutem posługiwania się sfałszowanym dokumentem tożsamości.

24 listopada w Prokuraturze Rejonowej w Rudzie Śląskiej Adamowi Żalowi odczytano zarzut popełnienia zabójstwa Jarosława Durczaka. Wyparł się wszystkiego. Dowodził, że we wtorek, 13 września, kiedy opuszczał wraz z konkubiną mieszkanie, nikt w nim nie został, a tym bardziej jakiś truposz. Nie odbyła się tam żadna libacja ani awantura. Poszli z „Dzierganą” w Polskę, bo taki miał kaprys. „Ja w ogóle nie znam człowieka o nazwisku Durczak. Nigdy takiego nie spotkałem. Może ktoś taki pił z nami, ale ja tego nie wiem. To wszystko”.

Twardziel rozmiękł, kiedy odczytano mu wypowiedzi kochanki. Wzburzony złapał za pióro i słowami zdradzającymi obkucie w prawie napisał „Prośbę o wyjaśnienie zajścia w sprawie zabójstwa”.

— Nie dam sobie przypisać kłamstwa — zastrzegł, po czym przelał na papier następującą historię. Po którejś z rządu połowce padł „jak deputat węglowy”, w fotelu. Ocknąwszy się ujrzał, że Kasia klęczy na podłodze koło drzwi, obok leżącego Durczaka. Trzymała w dłoni nóż, w całości metalowy. Nóż był zalany krwią, podobnie jak jej ręce oraz ubranie Durczaka. „I tym widokiem się zraziłem i zapytałem, a Kasia powiedziała, że nie wiedziała, że człowiek ma ciało, że nóż wchodzi jak w gumę”. Rzuciła też: „Z frajerstwem się kończy”. Potem umyła nóż, kroila nim jabłko i jedząc je tłumaczyła, że Durczak dobierał się do niej, a ona postanowiła być wierna.

Tuż przed Świętami Bożego Narodzenia schwymano Katarzynę Łotrzyk w Katowicach. Początkowo nie przyznawała się do niczego. 18 stycznia powiedziała: „To ja

zabiłam. Pomówiłam Żala z chęci zemsty, bo mnie bił”.

„Dziergana Kaśka” pochodzi z Pomorza. Wychowywała się jednak w śląskich sierocińcach i domach poprawczych, bo rodzice się jej wyrzekli. Zawsze była krnąbrna i dzika. Od czternastego roku życia pije wódkę. Skazywana sześciokrotnie, ostatnio w 1993 roku, na karę ośmiu lat pozbawienia wolności, za rozbój popełniony z nożem w rękę. Nie nasiedziała się długo, w lipcu 1994 r. wyszła na przepustkę. Zagościła u Żala, którego poznała w więziennym szpitalu.

Nigdy nie miała czasu założyć rodziny. — Może to i dobrze — mówi. Kilka razy otwierano jej żołądek, gdyż robiła tzw. połyki. W chwili przesłuchania oświadczyła, że musi być zoperowana, bo wbiła sobie igły w oko i w płuco. W opinii psychiatrycznej czytamy: „Zdradza cechy nieprawidłowej osobowości i ociążałości umysłowej będącej wynikiem zaniedbania środowiskowego”. W trakcie badania wykazywała ponury nastrój. Psychiatrzy orzekli, że zabijając Durczaka miała możliwość rozpoznania znaczenia czynu i pokierowania swym zachowaniem. „Artykuł 25 § 1 i 2 nie ma zastosowania” — skłonił dowódcę.

Durczaka zabiła — jak utrzymuje, przez babski honor. Dlatego, że klepnął ją w tyłek. „Odebrałam to jako zniewagę. Wielokrotnie spotykałam się z podobnym traktowaniem mnie przez mężczyzn i słyszałam, że kryminalistki to sukki i k.... Mam uraz na tym tle. Uderzyłam najpierw w śledzionę, potem w żebra, a jak się pochylił na fotelu, w plecy”.

Durczak zachował przytomność. Nie krzyczał, nie bronił się. Podnieśli go z Adamem na wersalkę. Chwilę poleżał i powiedział, że chce iść do ustępu. Zaprowadziła go. Durczak sikał do muszli na stojąco. Coś ją wtedy popchnęło, by iść do kuchni i wrócić z metalowym nożem o dłuższym niż poprzednio ostrzu. Durczak, już siedział na posadzce, oparty plecami o sedes. „Stojąc mogłam, uderzyć go w szyję. Wydaje mi się, że zadałam więcej ciosów.” Razem z Żalem zacierali ślady zbrodni. Razem wynosili ciało owinięte w strzęp dywanu, ale ją rozboleły zreumatyzowane ręce, więc rzucili ciało Durczaka w połowie na trawnik, w połowie na trotuar.

Do wyznania winy skłonili ją więzienny psycholog oraz wychowawca. „Ja ich szanuję. Rozmowy z nimi sprawiły, że zaczęłam mieć wyrzuty sumienia, dlatego postanowiłam powiedzieć prawdę. Nie chcę, aby przeze mnie cierpiał niewinny człowiek. Żałuję tego, co zrobiłam, Jarek mógłby żyć”. Osobiście odczytała i podpisała protokół.

ADAM K. PODGÓRSKI

PS. Poza nazwiskami funkcjonariuszy, inne personalia zmienione.



## ● POMYŚLNY MELDUNEK DEA

Wielka międzynarodowa operacja policyjna przeciwko handlarzom narkotykami z Cali (Kolumbia) doprowadziła do aresztowania 88 osób i przechwycenia 9 ton kokainy, 52 mln dolarów w gotówce, a także wielu dóbr kultury, m.in.: obrazy Picassa, Rubensa i Reynoldsa — oświadczył niedawno rzecznik amerykańskiego Federalnego Biura do Walki z Narkotykami (DEA), nie ujawniając szczegółów operacji.

## ● DEFRAUDACJE W UBEZPIECZENIACH

Niemiecka policja wykryła wielką aferę defraudacyjną na szkodę ubezpieczeń chorobowych, obejmującą prawie całe Niemcy, a zorganizowaną przez nieuczciwych lekarzy szpitali i laboratoriów farmaceutycznych, która naraziła niemieckie służby socjalne na straty rzędu około 100 mln marek. Lekarze 22 szpitali i laboratoriów farmaceutycznych testowali na pacjentach leki, na które nie było zezwoleń, obciążając kasy ubezpieczeń chorobowych.

## ● WPADLI WE FRANCJI

Francuscy celnicy z Ax-les-Thermes, w departamencie

Ariege, przechwycili 600 kg papierosów i zatrzymali trzech przemytników narodowości polskiej. Turyści-szmaglerzy podróżowali samochodem z przyczepą kempingową, w której znaleziono 300 kartonów amerykańskich papierosów, zakupionych prawdopodobnie w Andorze, gdzie kosztują trzy razy taniej aniżeli w krajach Unii Europejskiej. Wartość skonfiskowanych papierosów, na francuskim rynku, oszacowano na 500 000 franków.

## ● NAWRÓT PIRACTWA

Autokar z portugalskimi turystami został napadnięty w biały dzień na moście w Sartenie, w południowej Korsyce, przez kilkuosobową grupę uzbrojonych i zamaskowanych napastników. Wszystkich podróżnych obrabowano z gotówki, biżuterii oraz wartościowych przedmiotów.

## ● NIEPOKÓJ O BEZPIECZEŃSTWO

Brytyjski dziennik „The Observer” ujawnił na swoich łamach, że „ryzyko zamachu terrorystycznego” istnieje w pociągach kursujących pod kanałem La Manche. Dziennikarze, którzy przeprowadzili własne śledztwo niepokoją „poważne zaniedbania” w systemie bezpieczeństwa tunelu. Samochody i bagaże nie są kontrolowane. Istnieje dużo kryjówek do umieszczenia bomb. Zarząd Eurotunelu zaprzeczył tym konkluzjom. Niemniej jednak brytyjski minister transportu zażądał natychmiastowego raportu odnośnie bezpieczeństwa w tunelu.

oprac. MARIAN OWCZAREK

Obsesja odpowiedzialnych za tunel o bezpieczeństwo. Ze strony Francji, w obsłudze pasażerów i zapewnienia bezpieczeństwa w tunelu i przyległych terenach, obejmujących około 700 hektarów, zatrudnionych jest prawie dwustu francuskich policjantów oraz trzystu celników. Niezawodnym pomocnikiem w codziennych patrolach, a szczególnie w poszukiwaniu materiałów wybuchowych, jest policyjny pies, nazwany „Euroscan”.







**„KOLEDZY  
SHERLOCKA  
HOLMESA”**

## DETEKTYW Z HONOLULU

Prezentowani dotychczas w tym cyklu detektywi to, począwszy od Augusta Dupina, a na pannie Marple kończąc, Europejczy. Za sprawą amerykańskiego pisarza Earla Derra Biggersa (1884 — 1933) na arenę światowej literatury kryminalnej wkroczył Chińczyk, oficer policji z Hawajów, wysp połączonych administracyjnie ze Stanami Zjednoczonymi. Nazywał się Charlie Chan i miał pełen tajemniczości urok azjatyckiego mędrca. Detektyw z komedy w Honolulu był człowiekiem otyłym, o twarzy ozdobionej cienkim wąsikiem, uprzejmym i sympatycznym. Wyposażonym w duży wdzięk osobisty potomkiem narodu, który wynalazł proch i dał światu Konfucjusza. Chan miał dar erudycji i kwiecistej wymowy. Typowa dla ludzi Wschodu była jego nieprzenikniona, choć uśmiechnięta twarz, a także niezwykła wręcz płodność. Był on bowiem ojcem 11 dzieci, co różniło go znacznie od wielkich poprzedników literackich rodem z Europy, którzy byli zwykle stanu wolnego i bezdzietni.

Jego metoda wykrywania przestępstw oparta była na psychologii i znajomości typów ludzkich. Oto jak scharakteryzował ją sam E. D. Biggers: „Kieruje się on przekonaniem, że poznawszy dostatecznie charakter człowieka, będzie w stanie niemal przewidzieć, czego można się po nim spodziewać w określonych okolicznościach”. Oczywiście, nie zawsze da się poznać dokładnie

drugiego człowieka (podobnie jak samego siebie), toteż Chińczyk z Hawajów pomagał sobie w śledztwie w sposób tradycyjny i konwencjonalny, za to w stu procentach sprawdzony i pewny. Obserwując zachowania i wysłuchując zeznań świadków, wyłapywał to, co nielogiczne i fałszywe, nie pasujące, niczym zły element, do całości układanki. W skutecznym wykrywaniu sprawców przestępstw pomagała mu także pogoda ducha i filozoficzne podejście do życia. Chętnie cytował stare chińskie przysłowia i powiedzenia, np. „Dwoje uszu, jedno usta. Słuchaj dwa razy tyle, co mówisz” albo „Ten, kto trwoni rozmowy dnia dzisiejszego na omawianie wczorajszych triumfów, nie będzie miał czym chępić się jutro”. Trzeba przyznać, że w swoim działaniu stosował zawarte w tych cytatach treści. I to z niezłym wynikiem. W ogóle miał on skłonność do aforystycznego stylu rozmowy. Co druga jego wypowiedź zawierała jakąś alegorię, radę lub przestrożę.

Jak widać, bohater książek Biggersa to postać w dużym stopniu szablonowa, oparta na stereotypowych wyobrażeniach Amerykanów o Chińczykach. Jak doszło do tego, że pisarz postanowił uczynić swoim detektywem właśnie przedstawiciela tej grupy etnicznej? Biggers nie był autorem nazbyt płodnym. Pozostawił 10 powieści i 5 sztuk teatralnych. W jego pierwszych książkach („Kolumna westchnień”, „Pięćdziesiąt świeczek”) Chan nie występował. Pisarz wprowadził go dopiero w latach dwudziestych, w powieści „Charlie Chan”, której akcja rozgrywa się wokół zabójstwa gwiazdy filmowej w Honolulu. Książka z chińskim detektywem zyskała znaczny rozgłos, powstały więc następne m.in. „Za kurtyną”, „Chińska papuga”, „Charlie Chan prowadzi śledztwo”. O powołaniu do życia skośnookiego detektywa zadecydowała chęć wprowadzenia do literatury detektywistycznej postaci nietypowej i egzotycznej. Sam Biggers wyjaśnił to w następujący sposób: „Złowróźbni, występni Chińczycy nie są nowością w literaturze, ale nie wiem, czy ktoś wprowadził przede mną sympatycznego Chińczyka, który stoi na straży prawa i porządku”. Pomysł chwycił, Charlie Chan wzbogacił poczet wielkich detektywów literatury kryminalnej.

Książki Biggersa znane były w Polsce już przed wojną. W latach trzydziestych wydano u nas „Pięćdziesiąt świeczek” i „Za kurtyną”. Po roku 1956 nastąpił renesans twórczości tego pisarza w naszym kraju.

PIOTR KITRASIEWICZ

# AMAZONKI RUSZYŁY!

**Zaryczały silniki, zapisały opony, buchnęły kłęby spalin. Samochody ruszyły przy wtórze okrzyków i okrzyków licznie zgromadzonych widzów. Tak rozpoczął się pierwszy w naszym kraju Rajd Amazonek, zorganizowany we współpracy z Policją przez Polski Automobil-Klub. Sobotniego przedpołudnia, 4 marca, z warszawskiego placu Zamkowego ruszyło na trasę 30 załóg. Kierowcami były wyła-**

**cznie panie, przedstawicielki płci brzydkiej mogły co najwyżej pełnić funkcję pilota.**

Dopisało wiele znakomitości z high life'u stolicy. Były znane aktorki, dziennikarki telewizyjne, artystki estradowe, a także dwie policjantki z Centrum Szkolenia Policji w Legionowie. Po raz pierwszy miałem okazję zobaczyć Dorotę Stalińską przyozdobioną okularami, mocno poirytowaną Adriannę Biedrzyńską czy Jolanę Fajkowską w nietypowym stroju. Były także m.in. Anna Szulc, Maria Pakulinis, Grażyna Szapołowska.

Amazonki ruszyły. Na wspaniałe kobiety w swych szalejących maszy-

# POLICJANCI

rozmowa z aktorką Hanką Bielicką

— **Podobno przyjaźni się Pani z Policją? Na czym przyjaźń ta polega?**

— Może nie jest to przyjaźń, może to za duże słowo, ale jesteśmy w bliskich kontaktach. W towarzystwie policjantów spędziłam trzy zabawy sylwestrowe. Zawsze uśmiecham się przez okno do kierujących ruchem ulicznym funkcjonariuszy. Poza tym nie mam kontaktów z policjantami. Mam jednak wrażenie, że oni mnie trochę lubią.

— **Czy kiedykolwiek zapłaciła Pani mandat?**

— Dostałam kiedyś mandat, ale go nie zapłaciłam. Samochodem jeździłam krótko, przez parę lat zaledwie, gdyż byłam już mocno zaawansowana wiekiem. Dużo jeździłam nim na koncerty. Kiedy występowałam, zaparkowanym autem interesowały się miejscowe dzieciaki i odkręcały, co się dało. Zirykowało mnie to w końcu do tego stopnia, że samochód sprzedałam, a pieniądze rozdałam bliskim dzieciom i zaprzyjaźnionym rodzinom. Wracając do mandatu. Historia ta wydarzyła się w PRL, ale chłopcy w mundurach byli przecież ci sami. Mieszkałam w Alejach Jerozolimskich, a samochód okazjnie parkowałam na Nowogrodzkiej. Kiedyś znalazłam za wycieraczką karteczkę z informacją o mandacie. Pojechałam do komendy przy ul. Wilczej. (Warszawa-Sródmieście — P.K.).

— **Jaki to był samochód?**

— Wartburg. Najpierw miałam syrenę, wygrałam ją na loterii PKO na początku lat sześćdziesiątych, ale szybko sprzedałam i kupiłam wartburga.

— **Słucham z napięciem, co wydarzyło się w komendzie przy Wilczej.**

— Weszłam i ukloniłam się. Usłyszałam w odpowiedzi: „Dzień dobry, pani Haneczko. Co słyhać?” Odpar-

łam „Co słyhać? Dostałam mandat i nie wiem za co”. Panowie milicjanci odpowiedzieli: „Pani Hanko, mandat jest za to, że pani źle parkuje. Na znaku drogowym jest wyraźnie napisane, że w poniedziałki, środy i piątki wolno parkować po jednej stronie ulicy, a w pozostałe dni po drugiej”. A ja im na to: „Kochani, albo będę jeździć, albo czytać co jest napisane na znakach. Nie ma na to rady.” Zorientowali się, iż jeżdżę od niedawna i nie mam jeszcze rozwiniętej podzielności uwagi, wobec czego darowali mi ten mandat. Był to jedyny tego typu przypadek. Na ogół jeździłam uważnie, zwłaszcza w mieście.

— **A poza miastem?**

— Nie miałam chyba żyłki automobilistki, bo jak tylko wyjeżdżałam za miasto pojawiała się refleksja „Po kiego grzyba jadę” i natychmiast zwracałam. Jechałam do kawiarni na pogawędkę ze znajomymi.

— **Czy kobiety są lepszymi automobilistkami niż mężczyźni?**

— Do tego trzeba mieć talent, bez względu na płeć. Za karygodny uważam fakt, iż obecne kursy na prawo jazdy trwają tak krótko. Kiedy ja uczyłam się sztuki kierowania pojazdem, wzięłam co najmniej 100 godzin jazdy, zanim nabrałam pewności, że mogę zasiąść za kółkiem. Do tego oczywiście dochodziła teoria. I były to wtedy normalne kursy. A teraz... Narobiło się jak grzybów po deszczu tych prywatnych ośrodków, co to szybko, byle jak, żeby tylko zarobić. To niedopuszczalne! Widać później tego skutki na drogach. Ludzie nie umieją prowadzić samochodów. Nie potrafią manewrować w wąskich uliczkach lub korkach ani parkować tyłem. Jeżdżą za szybko i za lekkomyślnie. Dlatego dochodzi do tak wielu tragicznych wypadków



nach oczekiwało pięć odcinków specjalnych. Podobno najtrudniejszy był motodrom, czyli tor prób przygotowany w policyjnym miasteczku, a zwłaszcza jazda z piłeczką ping-pongową na masce. Ten odcinek rajdu pokonała najszybciej Dorota Stalińska, tuż za nią uplasowała się Adrianna Biedrzyńska. Trudy motodromu wynagrodziła uczestnikom policyjna grochówka i przypiekane nad ogniskiem kiełbaski.

Najlepszy czas, w całości imprezy, uzyskała na mecie załoga numer 9 (Lewandowska — Karpowicz) startująca w Peugeotcie 205. Drugie miejsce zajął duet Pakulnis — Namysłowski, załoga Hondy Prelude. Dorota Stalińska ukończyła rajd na czwartej pozycji, Adrianna Biedrzyńska była... 15.

Niektóre z Amazonek wyróżniały się oryginalnym ubiorem. Jolanta Fajkowska zwracała uwagę nie tylko pełnym wdziękiem uśmiechem, ale również szoferskim nakryciem głowy, żakietem i apaszką. Jednak najbardziej przyciągała wzrok załoga policyjnego poloneza, duet nr 8, Lucyna Mielczarek i Krystyna Jankowska. Obie Amazonki były w mundurach moro i w kaskach, robiły wrażenie zarówno skłaniającym do sza-



unku i respektu profesjonalnym strojem, jak i czarującą pewnością siebie. Obie panie aspirant w

ogólnej klasyfikacji były dziewiąte, natomiast w kategorii na najszybszy samochód o określonej pojemności

silnika (w tym przypadku 1500) zajęły drugie miejsce.

P. Kit  
zdj. CAF

# MNIE LUBIĄ

— *Głośna była kilka lat temu sprawa włamania się do Pani mieszkania. Jak zakończyła się ta historia?*

— Rozplynęła się. Przypuszczam, że sprawy nie byli włamywaczami z ulicy, nie byli przypadkowi. Przyszli na teren starannie rozpoznany. Na pewno nie byli to miejscowi żule, bo ci wytypowali do mnie specjalną delegację, która przyszła i powiedziała:

„Pani Bielsiu, tutaj żaden z nas tego nie zrobił, bo my paniom szanujemy i my paniom uważamy za warszawianki naszym kochanom”. To było włamanie dokładnie przemyślane. Wiedzieli, kiedy wnuczek wychodzi do gimnazjum, kiedy gosposia jest sama, a nawet, że kontakty elektryczne są za lustrem. Wiedzieli także, iż po drugiej stronie ulicy jest mało znane

przejście przez bramę na ul. Nowowiejską, gdzie czekał na nich samochód. Wszystko było ukartowane.

— *Czy ludziom estrady często przytrafiają się tak niemiłe dowody popularności?*

— Kiedyś, gdy okradziono Irenę Santor, znaleziono przy złodzieju kartkę, na której znajdowały się nasze nazwiska, moje i wielu kolegów znanych ze sceny, estrady i telewizji. Złodzieje wyobrażali sobie, że zarabiamy astronomiczne sumy i jesteśmy bardzo bogaci. Ci, co mnie okradli, wynieśli trochę dzieł sztuki. Byli w mieszkaniu tylko dwie godziny, bo nieoczekiwanie wrócił wnuczek. Gdyby nie wrócił w tym czasie, to być może wynieśliby również obrazy. A tak ukradli trochę porcelany i srebra. Trudno, stało się. Jak nie będę miała z czego żyć, to pomyślę o nich źle.

— *A jak myśli Pani o nich teraz?*

— Myślę o nich: „Pieprz im w oko”.

— *Jak żyje się Pani w czasach narastającej przestępczości? Czy czuje się Pani zagrożona?*

— Nie zamierzam zmieniać swojego trybu życia. Dziękuję Bogu, że byli to tylko złodzieje, bo teraz przychodzą bandyci. Od razu mordują albo kaleczą w okropny sposób. I to w naszym społeczeństwie jest w tej chwili takie tragiczne.

— *Czy kobiety mogą być dobrymi policjantkami?*

— Tak i nie. Jeżeli jakaś pani ma zamiłowanie do przygody, pociągają ją trochę niebezpieczna praca, jest odważna, ma fachowe przygotowanie w zakresie walki — to dlaczego nie? To dobrze jeśli kobieta wie, co to jest knock-out i rzut przez biodro i potrafi to wykonać. Natomiast zawód ten nie jest z pewnością dla każdej kobiety. Jeśli ona, zamiast bronić się, usiądzie i zacznie płakać, to jest to bez sensu. Wiadomo, że kobiety mają łzy na bliskim miejscu i jedna z drugiej, jak się zdenerwuje to ręce rozkłada i nie wie, co robić. Takie kobiety nie tylko nie będą dobrymi policjantkami, ale w ogóle nie

powinny znaleźć się w tym zawodzie. Ale są panie o innym charakterze. Rodzą się z duchem bojowym, mają trochę chłopięce usposobienie i smykałkę do męskich zajęć.

— *Czy Pani byłaby dobrą policjantką?*

— Świętną! Jestem wygadana, wyszczekana, energiczna, solidna, nie daję sobie w kaszę dmuchać. Prawdopodobnie wyniosłam to z domu rodzinnego. Mój ojciec strasznie chciał mieć syna, więc od dziecka starałam się być aktywna i chłopięca. Prawdopodobnie zostanie mi to do śmierci.

— *Znana jest Pani z upodobania do kapeluszy. Skąd wzięło się to upodobanie? Czy też z rodzinnego domu?*

— W Polsce Ludowej było tak strasznie szaro. Szare ubrania, domy, ulice. Chciałam to trochę ożywić, rozweselić i rozjaśnić ten ponury nastrój. Ubierałam się kolorowo, biegałam po kawiarniach, zaczęłam nosić kapelusze. Uznałam, że aktorze estradowej potrzebny jest określony strój niż noszony przez przeciętną kobietę.

— *Wspominała Pani o kawiarniach. W których lokalach bywała Pani najczęściej?*

— Chodziliśmy na kawę do „Europejskiego”, mieliśmy tam swój stolik. Było z nami wielu wybitnych artystów estradowych, na przykład Ludwik Sempoliński, który często przychodził do „Europejskiego” i lubił długo siedzieć. Poza tym po każdym spektaklu szliśmy do SPATIF-u. To było wręcz obowiązkowe.

— *I już ostatnie pytanie. Kobieta bojowa, energiczna, nie dająca sobie dmuchać w kaszę, kandydatka na dobrą policjantkę. Cechy te kojarzą mi się z zodiakalnym Skorpionem. Czy to Pani znak Zodiaku?*

— Ależ tak. Mam bardzo przekorny charakter.

— *Dziękuję bardzo za rozmowę.*

PIOTR KITRASIEWICZ





## ZAGADKA

**W liceum miała ogromne powodzenie u chłopaków. 175 cm wzrostu, figura modelki, długie, gęste włosy i duże niebieskie oczy sprawiały, że szalało za nią wielu jeszcze przed maturą. Studiując matematykę na UW (specjalizacja z informatyki), spotkała w swojej grupie zdecydowanie więcej kolegów niż koleżanek. Niejeden stracił dla niej głowę. Strzelali za nią oczami także wykładowcy i asystenci.**

# KTO ZŁAMAŁ KLUCZ?

Ale ona wybrała Marka. Kiedy poznała go na IV roku, bardzo się zmieniła. Marek nie cierpiał alkoholu, lokali, głośnej muzyki. Anna przestała więc królować na dyskotekach i domowych prywatkach.

— Ustatkowała się — twierdziła jej rodzice. — Wyszumięła za młodu, teraz zajmie się domem, mężem i dziećmi.

Na początku małżeństwa rzeczywiście tak było (poza punktem ostatnim, tj. dziećmi). Oboje z Markiem nie chcieli mieć ich tak od razu. Planowali przełożyć to na później, kiedy już ustawią się w życiu, kupią duże mieszkanie i porządny samochód. Na razie mieszkali w wynajętej kawalerce.

Anna dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności została właścicielką salonu gier położonego w jednym z dużych osiedli mieszkaniowych. Wyremontowała zdewastowane pomieszczenie, wzięła w leasing kilka automatów do gier i od razu zorientowała się, że interes ten przyniesie jej pieniądze. Marek patrzył na to sceptycznie.

— Chcesz się użerać z rozwydrzonymi gówniarzami? — pytał. — Po to tyle lat studiowałaś? Ale Anna wolała to, niż np. uczyć matmy w szkole za marne grosze. Już po roku wykupiła automaty, za gotówkę dokupiła jeszcze bilard i coś w rodzaju

„jednorękiego bandyty”. Interes zaczął dobrze prosperować. To też widząc ogłoszenie w „Wyborczej” o salonie gier do sprzedania na innym osiedlu, bez wahania weń zainwestowała. Pieniądze zwróciły się szybko.

Tymczasem Markowi, z wykształcenia fizykowi, wciąż nie wychodziło. Zarabiał niewiele w szkole, marzył o instytucie badań jądrowych, tymczasem musiał uczyć dzieci o równi pochyłej, przyspieszeniu i innych nudach.

Toteż kiedy któregoś dnia kolega ze studiów zaproponował

czyć. W chwili przerwy Michał stwierdził, że większość facetów w ich grupie ledwo zdała egzaminy, bo na zajęciach zamiast słuchać wykładów, rozbięli Annę oczami.

— Tak? — powiedziała. — No to może teraz skonfrontujemy waszą wyobraźnię z rzeczywistością? — Weszła na krzesło, z krzesła na stół. Jej kolegom na chwilę dech zaparło z wrażenia. Któryś rzucił się do magnetofonu i włączył odpowiednią muzykę, inny pospiesznie posprzątał ze stołu, by Anna miała się gdzie poruszać. Gdy zaczęła odpinąć guziki bluzki, wszyscy bili jej brawo...

Choć może nie wszyscy. Mirka wstała i ostentacyjnie ruszyła ku

kolejnych egzaminów, zalicza więc mężczyzn.

Nie chciała w to wierzyć. Ale kiedy córka od prawie tygodnia nie dawała znaku życia, jej telefon wciąż nie odpowiadał, w piątek 20 stycznia wybrała się do niej. Może jest jakieś uszkodzenie na linii — myślała.

Ale na pukanie do drzwi nikt nie odpowiadał. Na wszelki wypadek nacisnęła klamkę. O dziwo drzwi ustąpiły. Starsza pani ostrożnie weszła do środka. Już na progu miała złe przeczucia...

Policyjna ekipa znalazła Annę leżącą zupełnie nago na wznak obok łóżka. Lekarz początkowo stwierdził, że nastąpił zgon naturalny. Nadkomisarz Lucjan Mierzwa, prowadzący tę sprawę, miał jednak co do tego wątpliwości. Nie dawały mu spokoju wycięte w niektórych miejscach do gołej skóry włosy denatki.

— Może to taka moda? — bagatelizował sprawę jego kolega z wydziału zabójstw. — Nigdy nie widziałeś punków, czy innych, co mają na głowach? To przecież nie okupacja. Dziś nikt nie obcina włosów Polkom puszczającym się z Niemcami.

Podczas oględzin stwierdzono, że mieszkanie nie nosi żadnych śladów płądrowania. Na wierzchu leżało mnóstwo cennych przedmiotów, m.in. ze złota. Natomiast w zamku podklamkowym w drzwiach wejściowych tkwił od wewnątrz utamany klucz. Obok na podłodze leżały nożyczki, nieco dalej znaleziono drugą część klucza. Powędrował do foliowego woreczka, a potem do wydziału daktyloskopii. W pokoju w koszu na śmieci leżała zmięta kartka papieru, kiedy policjanci ją rozprostowali, ich oczom ukazał się krótki tekst pisany ma maszyną: „Wracaj lepiej z tego Reichu, bo Twoja żona niedługo zaliczy każdego chłopca w tym mieście.”

Pytano sąsiadów. Rzeczywiście po wyjeździe Marka wydział Annę nieraz w męskim towarzystwie. Ostatni raz widziano ją 18 stycznia około godziny 19.00. Była sama i dość dziwnie ubrana. Miała spodnie, co się jej rzadko zdarzało i ciemne okulary. Sąsiadka bardzo dobrze pamięta dzień i godzinę, bo tego dnia na 19.30 szli do teatru z mężem. Takie wyjście zdarza im się średnio raz na rok, więc na pewno się nie myli. Anna wchodziła na schody. Była jakaś zaniepokojona. Nawet nie powiedziała „dzień dobry”, choć zawsze pierwsza się kłaniała.

Nadkom. Mierzwa siedział przy biurku i oglądał anonim wysłany najprawdopodobniej Markowi do Niemiec. Sprawdzono na przejściach granicznych. Okazało się, że Marek wyjechał z Niemiec w piątek 13 stycznia, ale w poniedziałek 16 był już z powrotem w pracy. Jeśli to on w przychyłej zadróżci zabił swoją żonę, to musiał to zrobić między 13 a 15 stycznia. Tymczasem sąsiadka widziała Annę w środę 18 stycznia.

Sekcja zwłok wykazała, że Anna przed śmiercią otrzymała silne uderzenie w twarz, potem ktoś albo nakrył ją poduszką, al-

mu wyjazd na kontrakt do Niemiec, gdzie trafiłby do prawdziwego instytutu i mógłby prowadzić badania naukowe nad jądrem komórkowym, aż oczy mu się zaświeciły z radości. Annie nie bardzo. Chciała odwieść go od tego zamiaru.

— Przecież mamy pieniądze — tłumaczyła. — Już za rok, półtora kupimy sobie mieszkanie, potem porządne auto. Jak cię nudzi praca w szkole, to ją rzuć. Forsy i tak nam wystarczy.

Ale on nie chciał nawet tego słuchać. Wreszcie zrealizuje swoje zawodowe ambicje, uodowodni wszystkim, że on też jest coś wart. No i nie będzie wiesznie utrzymankiem swojej żony. Pojechał do Niemiec.

Anna została sama. Pracy miała niewiele, bo w obu salonach gier zatrudniła już pracowników, którzy pilnowali interesu od rana do wieczora, kiedy to zjawiała się po utarg. Początkowo siedziała w domu, czytała, słuchała muzyki. Ale któregoś dnia zatelefonował do niej kolega ze studiów, Artur.

— Słuchaj, u Andrzeja jest impreza, są zaproszeni wszyscy najfajniejsi ludzie z naszej grupy. Przyjdźcie razem z Markiem! Wyjechał? No to przychodź śmiało sama. Zo opiekujemy się tobą, nie będziesz żałować.

Na imprezie u Andrzeja Anna momentalnie odzyskała dawny wigor, stała się duszą towarzystwa. Każdy z jej dawnych i nowych kolegów chciał z nią tań-

Pani Janina, matka Anny, była o córkę coraz bardziej niespokojna. Minął już rok od wyjazdu Marka do Niemiec. Co z tego, że zięć zaczął dobrze zarabiać w Dortmundzie, że awansował, że odłożył już na mieszkanie, kiedy wciąż nie miał zamiaru wracać. Ba, nawet podczas ostatniej wigilijnej kolacji zasugerował, żeby Anna przeniosła się do niego. Teraz może już spokojnie sprzedać swoje salony gier, bo on zarabia dużo więcej. Anna zareagowała na to bardzo ostro. Nie miała najmniejszej ochoty wyprzewodzić się z Polski. A może nie o zmianę kraju tu chodzi...?

Przez ostatni rok, od wyjazdu Marka, panią Janinę dochodziły słuchy, że córka znów bawi się szampańsko, jeszcze częściej niż na studiach, bo teraz ma o wiele więcej czasu, nie musi zaliczać



bo zadzierzgnął na szyi coś miękkiego, nie pozostawiającego śladów, np. pasek od sukienki czy szlafroka.

W jej torebce znajdowały się wszystkie dokumenty i pieniądze. Leżał w niej też komplet kluczy do salonów gier i do mieszkania, łącznie z podklamkowym.

Tymczasem policjanci odkryli równocześnie dwie niezwykle istotne informacje. Pierwsza, że pracownik drugiego salonu gier miał manko. Chodziło o pokątną sumę. Po prostu licznik w automatach wskazywał co innego, a pan Stanisław w dziennych utargach wpisywał co innego. Różnice sięgały 200, 300 tysięcy starych zł dziennie. Salon funkcjonował już półtora roku, a Anna wpadła na to dopiero kilka dni przed śmiercią. Pomiędzy nią a jej pracownikiem doszło do ostrej wymiany zdań. Pan Stanisław krzyczał, że nie będzie odpowiadał za wadliwe liczniki itp.

Druga informacja dotyczyła jej rzekomego rozpustnego życia. Otóż od pewnego czasu Anna spotykała się z Arturem i Michałem. Artur robił to ukradkiem, w tajemnicy przed żoną, Michał oficjalnie i bardzo się tym afiszując. Był sam, zżerała go jednak zazdrość o Artura. Zaczął go nienawidzić. Zwłaszcza że ostatnio Anna coraz częściej umawiała się z Arturem. Był u niej podobno tuż po wyjeździe jej męża.

Przeszukano jego mieszkanie, ale nie znaleziono niczego, co mogłoby naprowadzić na jakiś ślad. Na odchodnym nadkom. Mierzwa usiadł do maszyny do pisania żony Artura, Marzeny. Wystukał na niej kilka słów. „Wracaj lepiej z tego Reichu...” Trzcionka jakby się zgadzała.

Przeprowadzona ekspertyza potwierdziła, że anonim do Marka został napisany na tej właśnie maszynie.

— Tak, to ja — przyznała się Marzena. — Nie mogłam dłużej znieść tego, co wyprawia ta... z moim mężem. Podobno zresztą nie tylko z nim. Napisałam do Marka, ale nie pomogło. Na myśl o Ancie gotowało się we mnie. Któregoś dnia nie wytrzymałam i poszłam do niej. Było to w środę 18 stycznia...

Jak wyglądał przebieg tej wizyty? Czy kipiąca nienawiść do swojej koleżanki Marzeny uderzyła ją w twarz, wycięła włosy do gołej skóry, by ją oszpecić, a gdy to nie rozładowało jej furii, uduśiła swoją koleżankę?

Z wydziału daktyloskopii przyszła ekspertyza. Na odfamku klucza zidentyfikowano odciski palców. Czy należały do Marzeny? A jeżeli nie, to do kogo?

Odpowiedź w następnym numerze „MK 997”.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI

# MIŁOŚĆ

# NA TELEFON



Męskie rozmowy podczas męskiej wódeczki wyglądają na ogół podobnie: zaczynają się od interesów, a kończą na kobietach. Jedni lubią tylko pogadać i w miarę ilości wypitej wódki opowiadają coraz to piękniejsze opowieści o swoich erotycznych wyczynach, inni muszą czynnie udowodnić swoją męskość. Czasami kończy się to całkiem fatalnie. Kiedy Jacka C., właściciela warsztatu samochodowego w Warszawie, odwiedziło w pewne sobotnie popołudnie dwóch kolegów, zaczęła się taki właśnie typowy męski wieczór.

Trzej panowie pili w pomieszczeniu biurowym obok warsztatu i rozmawiali o interesach. W pewnej chwili, kiedy mieli już trochę w czubach, jeden z nich wziął leżącą na biurku gazetę, otworzył ją na stronie z ogłoszeniami i zaczął głośno czytać: — „Wspaniały seks — niezapomniane wrażenia”, „Gorące usta — zadzwoń, a opowiem ci swoje najintymniejsze wspomnienia”, „Zadzwoń, przyjedź — napoję cię swoją słodyczą!”, „Masaż na miejscu i w domu klienta”.

Któryś wpadł na pomysł, aby sprawdzić, co mają do powiedzenia „gorące usta” i zaczęła się zabawa. Jacek C. wykręcił podany w ogłoszeniu numer i przełączył panosonika na nagłośnienie. Usłyszeli sztucznie modulowany szepet panienki przedstawiającej się z cudzoziemska jako Suzi, która zapewniała swego rozmówcę, że jest „namiętna, gorąca i uwielbia się kochać”. Z telefonu płynęła intymna opowieść pełna coraz bardziej pikantnych szczegółów, a panowie mieli ubaw co niemiara. Kiedy „gorące usta” Suzi zamilkły, zdecydowali, że właściwie dobrze byłoby zobaczyć

dziewczyny z agencji w naturze. Ponieważ jednak nie mieli pieniędzy na opłacenie pełnej „usługi”, postanowili zabrać się i tylko pooglądać sobie oferowany towar.

Podczas gdy pan Jacek rozlewał do kieliszków zawartość kolejnej butelki, jego przyjaciel wybrał numer agencji towarzyskiej i zadzwonił. Przedstawił się elegancko i poprosił o trzy miłe panienki, „które mogłyby dziś wieczorem dotrzymać towarzystwa trzem biznesmenom”.

Pani przyjęła zamówienie i poprosiła, aby podać jej adres i numer telefonu, na który oddzwonili za kilka minut. Agencja towarzyskie zawsze stosują tę metodę, aby sprawdzić, czy ktoś nie chce im zrobić kawału albo też czy pod podanym adresem na panienkę nie oczekuje ktoś z konkurencji, kto zechce je postraszyć albo oszpecić. Sprawdziwszy, że pod podanym adresem znajduje się rzeczywiście wymieniona w zamówieniu firma, szefowa wysłała tam trzy dziewczyny. Wkrótce zapukały do biura przy warsztacie. Panowie wpuścili je, popatrzyli, po czym zdecydowali kategorycznie: — Dziękujemy paniom! Nie odpowiadacie nam! — i wypchnęli dziewczyny za drzwi.

Zarykiwali się ze śmiechu, komentując mankamenty urody wyrzuconych dam. Aby sprawdzić znane powiedzenie, że nie ma brzydkich kobiet, może być tylko za mało wódki, wypili po kolejnym kieliszku i postanowili obejrzeć następne. Zadzwonili do kolejnej agencji i złożyli identyczne zamówienie. Wszystko przebiegało tak samo i zakończyło się podobnie jak poprzednio, to znaczy rezygnacją z panienek już po obejrzeniu. Gdy odjecha-

ły, zadzwonili po raz trzeci. Tym razem po pół godzinie w drzwiach stanęły trzy panienki i... dwóch ochroniarzy. Ci ostatni przyjechali sprawdzić, jaka jest sytuacja, czy dziewczyny nie są narażone na zaloty jakichś zboczeńców albo czy nie oczekuje na nie kilkunastu wygodniatych seksualnie facetów.

Widząc wchodzących do biura facetów trzej mocno już napici mężczyźni poderwali się.

— A wy tu po co? Wynocha! — krzyтели jeden przez drugiego.

— Spokojnie. Sprawdzimy, co jest grane, zainkasujemy z góry pieniądze za dziewczyny i wyjdziemy — odpowiedział ochroniarz.

Klientom zupełnie nie w smak były takie warunki. Rzucili się na ochroniarzy z pięściami, a Janusz z pistoletem gazowym. Widząc to ochroniarz też wyciągnął broń i strzelił, trafiając Jacka C. w nogę. Ranny nie pozostał dłużny i wypalił do tamtego z gazowca. Dziewczyny piszcząc i krzycząc uciekły do czekającej na ulicy taksówki, ochroniarze wycofali się za nimi. Na placu boju został ranny w nogę Jacek i dwaj bladzi ze strachu i ogłupiali z wrażenia jego koledy.

Jakby tego wszystkiego było mało, nim zdążyli zastanowić się, co zrobić z rannym, na plac przed warsztatem zajeżdżała maluchem żona Jacka C. Wszyscy trzej panowie natychmiast oprzytomnieli. Przeróżnej małżonce kolegi opowiedzieli historijkę o napadzie mafii i zabronili jej dzwonić po policję, tłumacząc, że z mafią nie ma żartów. W szpitalu, gdzie odwozła go żona, Jacek C. oświadczył lekarzowi, że sam przetrzebił się w nogę bawiąc się bronią...

ELŻBIETA SITEK



# KOMANDOS ZAWSZE W AKCJI

dokończenie ze str. 9

Kontroli Służb Specjalnych, uważa bowiem, że tak jak na całym świecie muszą być one pod kontrolą parlamentu, żeby nie doszło do sytuacji, że będą nieoficjalnie sterować polityką państwa. Pracował przy stworzeniu ustawy o emeryturach policyjnych, o której mówi, iż ma świadomość jej błędów, które trzeba naprawić, ustawy o zmianie ustawy o cudzoziemcach, ustawy o kontroli służb specjalnych, obecnie pracuje nad ustawami tzw. policyjnymi, a także nad ustawą o bronii i materiałach wybuchowych.

W Sejmie jest uważany za specjalistę od spraw policyjnych. Ale podkreśla, że nie jest posłem policyjnym.

— To nie policjanci mnie wybrali, lecz wyborcy z Suwalskiego. A w pracach nad ustawami dotyczącymi Policji biorę udział, bo po 25 latach służby, po prostu znam się na niej. Jednak Policja to dla

mnie rozdział już zamknięty. Bezpowrotnie. Dlaczego? Pozostał niesmak po aferze, kiedy w 1991 r. zwalniano mnie na podstawie wymagowanych zarzutów, a potem przyjmowano z powrotem na mocy decyzji sądu. W tym resorcie wyjątkowo mało dba się o ludzi, którzy żyły sobie wypruwali dla tej służby... I jeszcze dlatego, że dopiero z pozycji posła zobaczyłem, jaką kartą przetargową w rękach polityków może stać się policja. Jak dla mnie — za dużo w tym wszystkim fałszu. Zbyt wielu pięknie mówi o niej publicznie, a nie lubi jej prywatnie...

## ROZDZIAŁ TRZECI — GOŚĆ W DOMU

— Nie przypuszczałem, że będę miał jeszcze mniej prywatnego czasu, niż kiedy pracowałem w policji — powiedział mi, gdy po paru miesiącach posłowania spotkałem go w Sejmie. Gdy dziś pytałem o to samo, macha tylko ręką:

— Zapytaj mojej żony...

Nawet nie musiały. Na rozmowę do tego artykułu czekałam tydzień. Poseł Jerzy Dziewulski był albo na spotkaniu z wyborcami, albo na posiedzeniu komisji, na posiedzeniu klubowym, albo posiedzeniu plenarnym, w Radiu „Zet” lub na spotkaniu specjalnej komisji ds. bezpieczeństwa, na spotkaniu z policyjnymi związkowcami lub... w drodze, na któreś z tych spotkań.

Kiedy jeszcze pracował na Okęciu, jego dziesięcioletni wówczas syn miał na łóżkiem powieszzone zdjęcie ojca, żeby mógł na nie popatrzeć przed zaśnięciem. Dziś syn, a raczej synowie, bo ma dwóch: własnego i syna swojej drugiej żony, właściwie robiliby to samo, gdyby nie byli już 18-letnimi chłopcami.

— Staram się poświęcać im tyle czasu, ile mi się uda — mówi. — Kiedy mam wolną chwilę, idę z chłopakami na basen albo na piwo i wtedy rozmawiamy o męskich sprawach. Wiem, że to za mało i właściwie mam chyba dużo szczęścia, że dzieci policjanta, a potem faceta tak zajętego polityką, nie sprawiają większych kłopotów. Dużo szczęścia i, dodajmy, wspaniałą żonę. Justyna Dziewulska, osoba niezwykle ciepła i pogodna, przejęła wszystkie obowiązki i o domowe ognisko dba za dwoje. Jest byłą stewardesą, obecnie pracownikiem „naziemnym” LOT-u. Od siedmiu lat wspólnie kończą i urządzają nowy dom, segment na warszawskim Bemowie. Jerzy kładł

terakotę, robi różne prace stolarskie.

Czy przy tym wszystkim starca czasu na jakieś hobby? Okazuje się, że tak. Największa słabość Jerzego Dziewulskiego to motocykl.

często do biura poselskiego w Suwałkach, dąkąd trasę z Warszawy „przelatuje” w niespełna dwie godziny.

— Policjanci, gdy mnie zatrzymają, grożą palcem. „Panie pośle,



Swoim Kawasaki jeździ zawsze, ilekroć tylko pogoda na to pozwala. Czasem ot, tak, choćby godzinę wieczorem dookoła Warszawy z żoną czy którymś z synów, latem

niech pan tylko drzew nie prostuje po drodze! I niech im pan powie, tam, w tym Sejmie...”

ELŻBIETA SITEK  
zdj. archiwum rodzinne







Wręczenie Złotych Perel to wydarzenie artystyczno-towarzyskie

## Najlepiej ubrani Polacy

Jest to prestiżowe wyróżnienie przyznawane co roku dziesięciu najlepiej ubranym Polkom i Polakom. Do grona laureatów wybierane są osobistości życia publicznego, które swoim ubiorem, elegancją i stylem bycia mogą być wzorem dla społeczeństwa.

Jury, składające się z osób profesjonalnie związanych z modą, autorytetów w dziedzinie dobrego gustu i stylu w ostatnią sobotę karnawału na warszawskim Zamku Królewskim przyznało dziesięć Złotych Perel za 1994 rok.

I tak, za najlepiej ubrane Polki

uznano panie: Grażynę Torbicką — prezenterkę TV, Jolanę Kwaśniewską — bizneswoman, żonę lidera SLD, Jolanę Stolarską, Zofię Graber — obie bizneswoman i Ewę Kuklińską — aktorkę. Najlepiej ubranymi Polakami zostali natomiast: Marcin Świącicki — prezydent Warszawy, Lucjan Kydryński — dziennikarz, sławny konferansjer, Andrzej Malinowski — biznesmen, Grzegorz Tuderek — prezes BUDIMEX i Jan Kulczyk — właściciel KULCZYK TRADEX.

AGW  
zdj. Paweł Pestka



Jolanta Kwaśniewska

**ZŁOTA  
PERŁA  
'94**



Marcin Świącicki

# CURTIS

10 modeli telewizorów o przekątnej ekranu od 14 do 28 cali, również z PIP

- Najwyższa światowa jakość
- Absolutna niezawodność poparta dwuletnią gwarancją i 11-letnią obecnością na polskim rynku
- Najniższe ceny, bo w sklepach bez pośredników
- Fabryczny serwis w całym kraju

**CURTIS**

**Najlepszy zakup – to zakup z pierwszej ręki w salonach firmowych CURTIS**

Warszawa	ul. Surowieckiego 8 (Ursynów obok Megasamu) tel. 644-53-03	Nysa	Rynek 14/15, tel. 26-88
Gorzów Wlkp.	ul. Wolniary Rynek 8	Ostrowiec Św.	Al. 3 Maja 1
Katowice	ul. Mickiewicza 7 tel. 58-94-22; 58-60-63	Płock	DH SUPER MEX ul. Turńska 16 tel. 62-40-53
Lublin	ul. Zamojska 10 tel. 21-395	Rzeszów	pl. Wolności 4
Myślenice	ul. Reja 12	Szczecin	ul. Niepodległości 15 tel. 34-50-15
Nowy Tang	Rynek 12	Tarnów	ul. Wąłowa 41 tel. 21-03-83
Poznań	ul. 27 Grudnia 17/19 ul. Św. Marcina 54/53	Kraków	ul. Wybickiego 1 DH GIGANT

oraz w 2210 sklepach i Domach Towarowych



na terenie całego kraju, zaopiekujących przez dealerów



Polska zawsze miała dobre tradycje w przemyśle drzewnym i wszystkim, co wiązało się z jego obróbką, skutecznie konkurując na rynkach zagranicznych z firmami zachodnimi, zwłaszcza najbardziej konkurencyjną Szwecją. Nic więc dziwnego, że w tej właśnie branży widział możliwość zarobienia dużych pieniędzy Krzysztof A., biznesmen z Warszawy, który stworzył spółkę zajmującą się wyposażaniem w maszyny i gotowe technologie zakładów produkujących płyty pilśniowe. Pan A. miał jednak tylko pieniądze, a do funkcjonowania firmy potrzebni mu byli fachowcy. Miał rozeznanie na rynku w swojej branży, wiedział więc, gdzie ich szukać.

Przedsiębiorstwo Projektowania i Wyposażania Obiektów Przemysłowych, zwane „Prozepak”, specjalizuje się w uruchamianiu fabryk płyt pilśniowych w kraju i za granicą, gdzie ma ustaloną dobrą markę i skutecznie konkuruje z podobnego typu firmą szwedzką o nazwie „Defibra-Tor”.

Krzysztof Z., Stanisław L., Edward C. i Marian T. byli długoletnimi pracownikami tej firmy. Wszyscy czterej byli inżynierami na odpowiedzialnych stanowiskach. Krzysztof Z. był kierownikiem pracowni konstrukcyjnej, Stanisław L. kierownikiem pracowni technologicznej, Edward C. kierownikiem zespołu projektowego, a Marian T. starszym projektantem. Słowem — byli wysokiej klasy fachowcami o dużej wiedzy i doświadczeniu w swojej dziedzinie. Dla nowo powstającej firmy tacy fachowcy stanowili prawdziwy skarb.

Pan A. świadom niewielkich inżynierskich uposażeń dotarł do każdego z nich, proponując im pracę w swojej spółce za wynagrodzenie dwukrotnie wyższe niż to, które mieli dotychczas, a także udziały w spółce. Propozycja była zbyt kusząca, aby dać się długo prosić. Zwłaszcza że tak się złożyło, iż wszyscy czterej inżynierowie osiągnęli wiek emerytalny, mogli więc odejść z macierzystego przedsiębiorstwa i mając zapewnione emerytury pracować dodatkowo w doskonale płacącej firmie.

Na emeryturę mieli odejść w marcu, ale nie czekając na to już w grudniu 1992 roku wspólnie z Krzysztofem A. założyli spółkę z o.o. Będąc jej udziałowcami i pracownikami zatrudnieni byli

jeszcze w „Prozepak”, o czym nie wiedział nikt z przełożonych ani kolegów. Również po ich odejściu z firmy nikt nie miał pojęcia, co się z nimi dzieje.

W połowie 1993 roku do „Prozepaku” dotarły informacje, że jakaś spółka oferowała zakładowi z Krosna Odrzańskiego dostarczenie maszyny odwadniającej, wykonanej dokładnie według projektu „Prozepaku”. Podobną propozycję tydzień później otrzymały zakłady w Koniopolu. Informacja kompletnie zaskoczyła szefów „Prozepaku”. Skąd maszyny według ich projektu pojawiły się na rynku? Nikt nawet nie domyślał się, co się z tym kryje. Wszystko wyjaśniło się kilka miesięcy później, podczas targów drzewnych w Moskwie, do udziału w których tradycyjnie zapraszany był cieszący się dużym uznaniem „Prozepak”. Brali w nich udział także przedstawiciele innych firm zajmujących się podobną produkcją i zainteresowanych kontraktami na rynku byłego ZSRR. Wśród znanych fachowców był Stanisław L., były szef pracowni technologicznej w „Prozepak”. Tym razem jednak reprezentował zupełnie inną firmę, a mianowicie szwedzki „Defibra-Tor”. Na zlecenie Szwedów inżynier L. robił rozpoznawanie rynku, a także wizytował zakłady płyt pilśniowych na Litwie, gdzie przygotowywał kontrakt dla Szwedów. O ten kontrakt zabiegał wcześniej „Prozepak”, o czym Stanisław L. z pewnością musiał wiedzieć. W ten oto sposób „Prozepak” został „wykoszony” przez swojego byłego pracownika, który zaczął pracować dla konkurencji.

Kierownictwo „Prozepaku” otworzyły się oczy. Dopiero teraz dowiedzieli się, że czterej panowie inżynierowie, którzy rzekomo odeszli na emeryturę, pracują w konkurencyjnej firmie. Nie było w tym nic złego, bo zrozumieli, że każdy szuka pracy lepiej płatnej. Ale kiedy powiązano to z wcześniejszymi faktami oferowania różnym firmom w kraju projektów będących własnością „Prozepaku”, sprawa zaczęła wyglądać zupełnie inaczej. Postanowiono zatem sprawdzić dokumentację, przy której pracowali wspomniani inżynierowie. Kiedy specjalna komisja dokonała inwentaryzacji, okazało się, że z „Prozepaku” zginęło ponad dwieście kompletnych projektów wraz z kalkami. W sierpniu 1994 roku, kiedy komisja zakończyła swoją pracę, o tych ustaleniach powiadomiono policję.

Dla wydziału ds. przestępczości gospodarczej KRP w Żoliborzu była to sprawa zupełnie nowego typu. Takie przestępstwa z pewnością zdarzały się wcześniej, ale nie były one pre-

czyjnie określone ustawą. Dopiero w kwietniu 1994 roku wydana została ustawa o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji. Po zapoznaniu się z materiałami przedstawionymi przez komisję „Prozepak” zostało wszczęte dochodzenie z art. 23 p. 1 tej właśnie ustawy. Pierwszy zarzut postawiony czterem inżynierom brzmiał, że „wykorzystywali we własnej działalności gospodarczej informacje stanowiące tajemnicę przedsiębiorstwa, w tym tajemnicę służbową, przez co wyrządzili poważną szkodę przedsiębiorstwu „Prozepak”.

Szukając zabranych z „Prozepaku” projektów policja dokonała przeszukania zarówno w spółce „Defibra-Pol”, jak i w mieszkaniach wymienionych inżynierów. W siedzibie spółki znaleziono 237 kompletów dokumentacji technologicznych

Na podstawie zebranych dowodów oprócz pierwszego zarzutu z ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji prokurator postawił wszystkim czterem także zarzuty z art. 264 p. 1 k.k. — o ujawnianiu tajemnicy państwowej i 268 k.k. — o usunięciu dokumentacji. Najwyższe zagrożenie karą jest z art. 264 p. 1 k.k. — do 3 lat więzienia.

W czasie przesłuchania inżynierowie tłumaczyli, że ponieważ pracowali przy niektórych z tych projektów, uważali je za swoją własność, poza tym, że były to projekty stare, a więc według nich nie miały dla firmy znaczenia...

Na razie trudno powiedzieć jak poważna jest szkoda, którą wyrządzili firmie i jak rozumieć określenie „szkoda” zawarte w dyspozycji przepisu. Ustawa jest nowa, nie było z tego artykułu

## PILŚNIOWE INTERESY

należących do „Prozepaku” w oryginalnych teczkach z nadrukiem tej firmy. Właściciel spółki podczas przesłuchania stwierdził, że przyjmując na wspólników i pracowników czterech inżynierów z „Prozepaku”, polecił im zwracać wszelkie, zwłaszcza służbowe, kontakty z poprzednią firmą. Stwierdził też, że widział wspomnianą dokumentację w szafach swoich pracowników, ale nie przywiązywał do tego większej wagi, uznał bowiem, że jest ona niezbyt przydatna dla jego firmy. Kilkanaście kompletów dokumentów z „Prozepak” znaleziono również w mieszkaniu jednego z wymienionych inżynierów.

Przy okazji wyjaśniło się także, dlaczego inżynier L. reprezentował interesy szwedzkiej firmy podczas targów w Moskwie. Otóż został przez nich wynajęty do reprezentowania ich interesów zaraz po tym, jak on i jego koledzy sprzedali swoje udziały w spółce „Defibra-Pol” konkurencyjnej firmie szwedzkiej o podobnej nazwie „Defibra-Tor”...

żadnego orzecznictwa i brakuje do niej jeszcze szczegółowej wykładni czy też wytycznych Sądu Najwyższego. Być może dostarczy ich właśnie ta precedensowa sprawa, która niebawem wejdzie na wokandy sądu w Warszawie.

ELŻBIETA SITEK

PS Imiona i inicjały zostały zmienione.

### SYSTEM IDENTYFIKACJI NARKOTYKÓW



produkcji amerykańskiej

Dokładnych informacji udziela dystrybutor:

**DELTA SERVICE**  
Zielonka k. Warszawy  
ul. Marecka 66  
tel. (0-2) 781-82-58,  
fax (0-2) 781-83-95



# SUPERBUTY

Wszystko zaczęło się przed kilkoma laty, gdy polski rynek szturmem zdobywały zachodnie firmy kosmetyczne. „Nina Ricci”, „Max Factor” czy „Coco Chanel” wkrótce skutecznie wyparły z rynku „Panią Walewską” i podobne jej specyfiki. Nie wszyscy z polskich rzemieślników, parających się rodzimym perfumiarstwem mieli ochotę się poddać. Ba, co bardziej sprytni dostrzegli, że nadarza się okazja pomnożenia dotychczasowych milionów w miliardy.

W każdym z tych przypadków fałszerze z niezłym skutkiem próbowali dostarczyć klientowi produkt takiej jakości, po którego zastosowaniu kobiecie nie przybywało zmarszczek. A zdarzało się, że podróbka dorównywała oryginałowi.

Działo się tak (i dzieje) dlatego, że wśród rodaków przeważa utrwalone w komunie przekonanie, że co zachodnie, to najlepsze. Być może z tego powodu jeden z łódzkich dyrektorów fabryki tekstyliów zdecydował się pakować damskie rajstopy w kolorowe pudełka z zagranicznymi napisami. Choć przewyższający jakością zachodnie odpowiedniki, polski produkt z pewnością zalegałby półki, mając na opakowaniu swoje brzmiące nazwę.

Dziś za lata, kiedy nie mający wyboru klient był zmuszony kupować buble, trzeba płacić. Stąd upadające fabryki i fabryczki chwytają się każdej deski ratunku. Jednym ze sposobów na przetrwanie jest naszywanie na wytwarzany przez siebie produkt metek i symboli znanych na świecie producentów.

Jedną z nich, cieszącą się międzynarodową sławą, jest pewna austriacka firma. Produkuje ona wszystko, co tylko wiąże się ze sportem, uprawianym tak zawodowo, jak i po amatorsku. Mając wyrobioną markę można pozwolić sobie na wyznaczanie cen, które niekoniecznie mają cokolwiek wspólnego z prawdziwym stosunkiem nakładu finansowego i osiąganego z produktu zysku. Za znak, będący symbolem jakości, trzeba płacić. Za ten sam znak musi również płacić osoba, która otrzyma prawo bycia wyłącznym dystrybutorem danego towaru, np. na Polskę.

Tak właśnie było w przypadku jednego z krajowych przedsiębiorstw, z którym Austriacy podpisali stosowną umowę. Jedna para butów została wyceniona przez dealera na 1 milion 500 tys. starych złotych.

Jakież było zaskoczenie owego pana, gdy dowiedział się, że buty opatrzone logo „jego” firmy sprzedawane są za ledwie po... 500 tys. za



parę. Taniego dystrybutora szybko namierzono i złapano, doprowadzając go do policji. Pan „X” do wszystkiego się przyznał. Owszem, sprzedawał buty takiej to a takiej firmy. Kategorycznie jednak zaprzeczył, aby rozprowadzany przezeń na rynku produkt był podrabiany.

W efekcie wybrana para butów trafiła do austriackiego laboratorium, gdzie słowa oskarżonego o nieuczciwą konkurencję zostały potwierdzone.

Ze znaków wiadomych jedynie producentowi Austriacy wyczytali, że „lewe” buty wyprodukowano w koreańskiej fabryce kooperującej z Wiedeńczykami.

Zatem od tej strony nasz rodak jest czysty jak łąka. Jego błędem było to, że nie sprawdził w urzędzie patentowym, czy znak towarowy nie jest zastrzeżony.

Rzecz jasna mogą (i muszą) zrozumieć Austriaków, którzy sami chcą

czepać korzyści z własnego produktu. Mimo to dużo daje do myślenia fakt, że panu „X”, który sprowadził buty z Korei oraz uścił stosowne cla, opłacało się sprzedawać buty nie po półtora miliona, a jedynie za 500 tys. złotych.

Mając to wszystko na uwadze można jedynie uśmiechnąć się nad naiwnym spostrzeżeniem, że przeciętny zjadacz chleba jest niemiłosiernie łupiony na prostej drodze. Powie ktoś: W końcu nie musisz bracie kupować tak drogich butów. Jak nie masz pieniędzy, zafunduj sobie tapcie z kory brzozonej.

Pamiętając przypadek łódzkiej fabryki tekstyliów, aż chciałoby się zamarzyć, by wzdiać na nogi równie dobre co austriacki pierwowzór, buty. Dla wybrednych anglomanów mogą być nawet opatrzone efektownie brzmiącym napisem: „Made in Poland”.

**PAWEŁ SZLACHETKO**  
zdj. autor

NIE CHCESZ BYĆ BEZBRONNY?  
ZADRASZAMY

SALON  
BRONI

Cenzin Group

BRONŃ SPORTOWA, MYŚLIWSKA,  
KRÓTKA, OSTRA, GAZOWA  
Z NAJLEPSZYCH FIRM  
ŚWIATOWYCH

AL. WARSZAWA  
SOLIDARNOŚCI 126

magazyn  
**997**  
kryminalny

WYDAJE  
KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

Zespół redakcyjny: **ELŻBIETA CIERLIKA** (redaktor naczelny, 601-61-26, 48-98-10 lub MSW 149-70), **Waldemar Gajewski, RYSZARD HRYCYK** (red. graficzny), **Przemysław Kacak, Piotr Kitrasiewicz, Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Jerzy Paciorkowski, MARIA PAWLAK** (sekretarz redakcji, 601-61-32, 48-14-30), **Adam K. Podgórski** (oddział redakcji w Katowicach, 510-221 w. 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Beata Tallar, Paweł Szlachetko, Hanna Świeszczakowska, MARCEL TABOR** (zastępca red. naczelnego, 601-61-72, 48-14-30), **Krzysztof Zaczekiewicz** (red. techniczny)

FOTOREPORTERZY: **Krzysztof Mokrzyszewski, Krzysztof Potocki**

ADIUSTACJA I ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Agata Guzdek-Wrotna** (601-61-15)

KOREKTA: **Małgorzata Boruta, Elżbieta Mirowska**

KOLPORTAŻ I MARKETING: **Teresa Tomaszewska** (601-68-66)

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: **K. Górniak, S. Jung, J. Kirzyński, Z. Matwiej, M. Opczarek, Z. Razmuk, M. Sokalska, L. Terpiłowski**

ADRES REDAKCJI: 02-514 Warszawa 12, ul. Domaniewska 36/38, Telefon sekretariatu: 601-61-26, kasa 601-60-86, tel./fax 601-68-67 lub MSW 168-67. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

## PRENUMERATA

I. Zamówienia na prenumeratę od osób cywilnych i instytucji przyjmują terenowe oddziały Zakładu Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”.

II. Funkcjonariusze, pracownicy cywilni Policji oraz emeryci i renciści resortowi zamawiają prenumeratę u naszego kolportera w najbliższej jednostce Policji.

Reklamacje w sprawie kolportażu kierować pod adresem redakcji: ul. Domaniewska 36/38, 02-514 Warszawa 12, tel.: 601-68-66, 601-61-26. Fax: 6016867. Konto bankowe: BPH O/III Warszawa nr 320049-433-130-1 ZAG KGP (prenumerata).

Wyłączny dystrybutor w USA (wschodnie wybrzeże) Andrew Artistic Distribution INC. Janusz Czuj, 419 Manhattan Ave., Brooklyn NY 11222 tel.: (718) 388-6770, (718) 384-6050 fax: (718) 387-0484.

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997”. Cena: słowo — 1 zł, cm<sup>2</sup> — 2 zł. Kolorowe dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto: 31 III 1995 r.  
Zam. 50309  
REDAKTORZY DYŻURNI:  
EDWARD NOWAK  
PIOTR KITRASIEWICZ



## PRZEMYT NARKOTYKÓW ŁODZIAMI PODWODNYMI

W sytuacji, gdy policja stosuje coraz bardziej skuteczne metody w walce z handlarzami narkotyków, nie próżnuje również mafia, która poszukuje wciąż nowych sposobów transportowania do odbiorców „białej śmierci”.

Ukazujący się w Bogocie dziennik „El Espectador” poinformował ostatnio, że od kilku miesięcy kokainowe gangi wykorzystują małe okręty podwodne, które przedostają się przez strefy znajdujące się w zasięgu radarów i patroli na wodach przy-

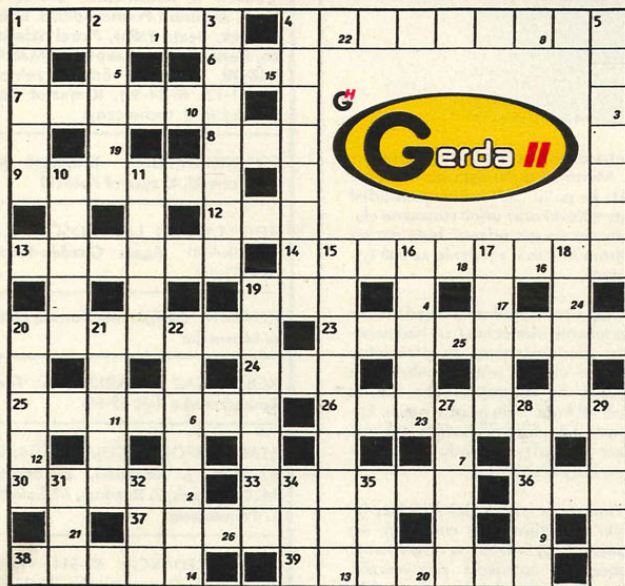
brzeżnych i międzynarodowych. Jednostki wykonane są z włókna szklanego i wyposażone w systemy elektroniczne, zastępujące załogę. Mające 4–5 metrów długości minikręty podwodne wypływają na powierzchnię na pełnym morzu, gdzie ich ładunki przejmują jednostki nadwodne, dostarczające narkotyki do portów USA i Europy.

Władze Kolumbii oceniają, że przeszło 80 proc. kokainy transportuje się na rynki międzynarodowe drogą morską. (gi)



zdj. Paweł Szlachetko

## KRZYŻÓWKA NR 8



**POZIOMO:** 1 — ubiór służbowy, 4 — przełożonego do wykonania, 6 — pramata ludzkości, 7 — z drutu kolczastego, 8 — po bombie, 9 — skrobana w samotności, 12 — wyspa na M. Irlandzkim należąca do Wielkiej Brytanii, 13 — niejedna z o.o., 14 — w aucie osłonięta atrapa, 19 — on tak, a ona..., 20 — do rozwiązania, 23 — żołnierz piechoty, 24 — żeńska forma imienia Pius, 25 — nad czeladnikami, 26 — przemieszczanie się autem, 30 — Marek, był piłkarzem Wisły Kraków, 33 — doktor, przyjaciel Holmesa, 36 — duży, w nim węgiel, mąka, 37 — stan w zachodnim Meksyku, 38 — materiał opałowy lub pędny, 39 — żołnierz ze straży osobistej sultana Maroka.

**PIONOWO:** 1 — biały — tańczony o świecie, 2 — w karetkce, 3 — dźwignia handlu, 4 — w kolejce do lekarza, 5 — zator w naczyniu krwionośnym, 10 — rzadka dla chorego, 11 — jest okrągła, 15 — bóg kowali, 16 — prawy dopływ dolnej Narwi, 17 — ryba z rodziny łososiowatych, 18 — cenne zszyte w książeczce, 19 — gwarancyjna, po wypadku auta, 20 — np. Tytan ZE-1, 21 — prawnik rzymski (II w.), 22 — miasto w USA (Michigan), duże skupisko Polonii, 27 — Bóg, Ojczyzna i on, 28 — skalny lub inflacyjny, 29 — pierwiastek imienia naszego kontynentu, 31 — japońska forma poetycka, 32 — miasto w Japonii (Honsiu), 34 — obok Oli, 35 — sieć na ryby.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać hasło, myśl Romaina Rollanda, które tworzą litery w kratkach oznaczonych w prawym dolnym rogu cyframi od 1 do 26:

(.....) (.....) (.....) (.....)  
 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14  
 (.....), (.....) (.....)  
 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26

Rozwiązania (samo hasło) prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru, na kartkach pocztowych z naklejonym kuponem.

### BOŻENA CHMIELEWSKA

Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania rozlosujemy nagrody ufundowane przez Przedsiębiorstwo Innowacyjno-Wdrożeniowe GERDA II: ● zamek elektroniczny Tytan ZE-1 ● zamek Tytan ZX.

#### Rozwiązanie krzyżówki nr 4:

„Mocniejszemu mocny ustępuje”.

Nagrody ufundowane przez Przedsiębiorstwo Innowacyjno-Wdrożeniowe GERDA II wylosowali: zamek elektroniczny Tytan ZE-1 — Jerzy Pankowski z Ciechanowa, zamek Tytan ZX — Krzysztof Zaranek z Legionowa.

## EUROPEJSKIE CENTRUM DZIECIĘCEJ PORNOGRAFII W CZECHACH

W Cieplicach, w północnych Czechach, aresztowano 50-letniego obywatela Niemiec Gerda Petersa, który zajmował się produkcją i dystrybucją pornografii dziecięcej. Wykorzystywał on do kręcenia filmów i robienia zdjęć nawet 12-letnie dziewczynki.

Dziennikarze czeskiej telewizji „Nova” ustalili, że w Cieplicach znajdowało się europejskie centrum pornografii dziecięcej. Kasety wideo, zdjęcia, katalogi przeznaczone były dla odbiorców w Austrii, Szwajcarii i Niemczech.

W sesjach porno kilkunastoletnie dziewczynki uczestniczyły często za zgodą rodziców. Za sesję otrzymywały wynagrodzenie w wysokości 500 marek. Według obliczeń policji, w ciągu roku Peters zarobił na tej „produkcji” 4,5 miliona marek.

Wykryto, że pikantne katalogi pornografii dziecięcej drukowano w państwowej drukarni w Usti nad Labą. Dyrektor drukarni został zwolniony. Peters oferował także dokładne mapy, głównie zachodnich i północnych regionów Czech, z zaznaczonymi miejscami, w których uprawia się prostytucję dziecięcą. Informowano o stawkach pobieranych przez kilkunastoletnie córki Koryntu — od 50 do 70 marek. (gi)

Zdrowych i spokojnych Świąt Wielkanocnych życzy Redakcja



## JAPOŃCZYCY A MAFIA

W przybliżeniu co ósmy mieszkaniec Japonii uważa mafię za zło konieczne. Sondaż przeprowadzony przez kancelarię premiera kraju wykazał, że szczególnie spokojnie odnosi się do niej młodzież. 23 proc. ankietyowanych Japończyków w wieku 20–30 lat nie widzi w mafii niczego złego lub uważa jej istnienie za nieuniknione.

Z sondażu wynika, że przeszło 12 proc. mieszkańców kraju sądzi, że na istnienie mafii nie się nie poradzi i trzeba się z tym liczyć. Wyjaśniając powody takiego stanowiska 41,4 proc. ankietyowanych tej grupy wskazało, że skorzystanie z usług mafiosów umożliwia znacznie szybsze rozwiązanie niektórych problemów, niż jest to w stanie uczynić prokuratura czy policja. 37,5 proc. respondentów, którzy ze spokojem odnosi się do mafii; stwierdziło, że są sprawy, w załatwieniu których pomoc policji nie zawsze jest celowa.

Ok. 50 proc. wszystkich uczestników sondażu wyraziło opinie, że mafijne gangi mogą nadal działać głównie dzięki temu, że w dalszym ciągu zwracają się do nich z różnymi zleceniami firmy i osoby prywatne, a policja nie jest w stanie położyć kresu tego rodzaju praktykom. (gi)



## MYŚLI

Ludzie niegdys zapomniani za czyny, mogą być oceniani na podstawie swoich charakterów.

Jerzy Kosiński

Przeszłość, jeśli była godna, pracuje na współczesność.

Aleksiej Adubej

Panowie, jeżeli faktów zmienić się nie da, zmierzcie przynajmniej język.

Ludwik Stomma

Często przechodzi człowiek od miłości do ambicji, ale rzadko wraca od ambicji do miłości.

La Rochefoucauld

Agencja Ochrony Mienia  
**KAMPOL**  
 Zielonka  
 ul. Przemysłowa 2  
 tel. 781-04-82  
 fax 781-04-83

- ★ Konwojowanie
- ★ Alarm – montaż
- ★ Monitorowanie obiektów
- ★ Pewność i odpowiedzialność
- ★ Ochrona grupami interwencyjnymi
- ★ Lojalność

KRZYŻÓWKA NR 8/95

